

# Coś bierzemy, coś dajemy

---

Reportaże o wolontariacie  
dla dziedzictwa

pod redakcją Aleksandry Chabier,  
Anny Kozioł i Bartosza Skaldawskiego



# Coś bierzemy, coś dajemy

---

## Reportaże o wolontariacie dla dziedzictwa

pod redakcją Aleksandry Chabier,  
Anny Kozioł i Bartosza Skaldawskiego

Warszawa 2017



NARODOWY INSTYTUT  
DZIEDZICTWA  
NATIONAL HERITAGE BOARD OF POLAND

**Redakcja i korekta:**

Renata Lewandowska

**Zdjęcia:**

Tomasz Maria Prokop (archiwum NID),

wykonane w ramach programu *Wolontariat dla dziedzictwa*

**Projekt graficzny oraz skład:**

Magda Piotrowska-Kloc, printomato.pl

©Narodowy Instytut Dziedzictwa, Warszawa 2017

**ISBN:** 978-83-63260-92-7

Narodowy Instytut Dziedzictwa,  
ul. Kopernika 36/40, 00-924 Warszawa

**Druk i oprawa:**

Drukarnia Media

[www.media-reklama.com.pl](http://www.media-reklama.com.pl)

## **Spis treści**

**Wstęp** • Małgorzata Zielińska ... 6

**Słowa kluczowe: dziedzictwo i wolontariat** • Anna Czyżewska ... 8

**Skala światowa** • Olga Gitkiewicz ... 11

**Co wioska, to inna piosnka** • Berenika Steinberg ... 25

**Świat, który zniknął pod ziemią** • Julia Łapińska ... 37

**Piętno wolontariatu** • Agata Listoś ... 49

**Wilczy Zakątek** • Andrzej Muszyński ... 65

**Wszystko po Niemcu** • Bartosz Józefiak ... 77

**Płyn rzekami, kanałami** • Justyna Pobiedzińska ... 91

**Ora et labora** • Andrzej Muszyński ... 103

**Detalove** • Julia Lachowicz ... 113

**Niezatarty ślad** • Joanna Mikulska ... 125

**Projekty dofinansowane i zrealizowane  
w ramach programu *Wolontariat dla dziedzictwa* ... 145**





# Wstęp

Małgorzata Zielińska  
Narodowy Instytut Dziedzictwa

Ktoś z kręgu pasjonatów historii sztuki stwierdził, że zabytki kultury to „miejsca, do których należą serca”. Chyba każdy wrażliwy człowiek potrafi stworzyć listę miejsc w swojej małej ojczyźnie, w kraju czy w wielkim świecie, z którymi w szczególny sposób związały się jego serce, dusza, świadomość, wyobraźnia. Chcemy tam wracać, ale i poznawać kolejne, ważne dla innych, zwłaszcza dla narodów i społeczeństw. Rzecz w tym, że troska o spuściznę kulturową wymaga ustawicznych działań kształtujących świadomość społeczną dotyczącą troski o pamiątki kultury zarówno dla dobra nas samych, dzisiaj żyjących ludzi, jak i dla przyszłych pokoleń.

Jednym z takich działań było uruchomienie przez Narodowy Instytut Dziedzictwa w 2016 roku programu dotacyjnego pod nazwą *Wolontariat dla dziedzictwa*. Realizował on podstawowe założenie *Krajowego programu ochrony zabytków i opieki nad zabytkami na lata 2014–2017*, jakim jest ułatwianie i animowanie społecznego zaangażowania w poznawanie własnego dziedzictwa kulturowego oraz w system opieki nad zabytkami. Jest to program szczególnie i bodaj jedyny o zasięgu ogólnopolskim finansujący tego rodzaju przedsięwzięcia. Zaadresowano go do wszystkich organizacji pozarządowych prowadzących działalność kulturalną, bo to one właśnie w świetle założeń programu są najlepszymi ekspertami i opiekunami swojego lokalnego dziedzictwa.

W dwóch edycjach konkursu w latach 2016–2017 około 200 organizacji złożyło 211 wniosków. Ich propozycje działań, zgodnie z regulaminem konkur-



su, dotyczyły między innymi prac porządkowych i pomocniczych związanych z utrzymaniem zabytków, prac inwentaryzacyjnych i dokumentacyjnych oraz edukacyjnych i popularyzujących wiedzę na temat dziedzictwa. Podstawowym wymogiem stawianym wykonawcom zadań było zorganizowanie minimum trzydniowego obozu wolontariackiego, co miało zmobilizować organizacje do pozyskiwania wolontariuszy. Celem tych działań było zwiększenie świadomości i kompetencji społeczników w zakresie opieki nad dziedzictwem kulturowym oraz uczynienie z nich swoistych ambasadorów idei.

Najlepsze projekty – czyli takie, które nie tylko spełniły przesłanki określone regulaminem, lecz także były oryginalne, a ich zawartość merytoryczna odznaczała się wysokim poziomem świadomości autorów wniosków na temat wartości dorobku kulturowego, którym się zajmują w swoich działaniach – otrzymały dofinansowanie. Członkowie zespołu oceniającego wnioski kierowali się także w swoich ocenach jakością efektów, które miały zostać wypracowane przez wolontariuszy, oraz trwałością rezultatów wynikających z zaplanowanych działań.

W niniejszej publikacji, powstałej we współpracy z Instytutem Reportażu i stanowiącej pokłosie zrealizowanych ogółem 78 zadań w ramach *Programu*, prezentujemy reportaże świetnie przedstawiające więziotwórczy wymiar działalności wolontariackiej na rzecz wspólnego dziedzictwa, która jest atrakcyjną formą samorozwoju i nabywania kompetencji społecznych, a nawet zawodowych. Można ufać, że w ślad za zwycięzcami omawianego konkursu pójdą kolejni entuzjaści utrwalania różnorodnej spuścizny kulturowej naszego kraju.

# Słowa klucze: dziedzictwo i wolontariat

Anna Czyżewska

Stowarzyszenie „Pracownia Etnograficzna”

*Wolontariat dla dziedzictwa*, to – jak mówią bohaterowie i bohaterki tej książki – satysfakcja, radość, inspiracja, ale też praca i nauka. Taka kumulacja wartości pozwala zrozumieć sens działań prowadzonych w ramach programu dotacyjnego Narodowego Instytut Dziedzictwa.

Może się wydawać, że godziny spędzone na wycince samosiejek, oczyszczaniu żydowskich macew, sprzątaniu śmieci, ciesiołce czy dokumentowaniu, fotografowaniu i opisywaniu poszczególnych przedmiotów to niby nic wielkiego. Niby! W rzeczywistości to szkoła obcowania z zabytkami ruchomymi i nieruchomymi. Szkoła, która pozwala dostrzec i zrozumieć wartość dziedzictwa i potrzebę jego ochrony. To coś, czego tylko teoretycznie można nauczyć się w innych okolicznościach.

Wolontariat dla dziedzictwa to niby prosta praca, ale niezbędna, by zachować „stare kamienie”. Te „stare kamienie”, jak określiła „dziedzictwo materialne” Irina Bokowa, dyrektor generalna UNESCO, w wywiadzie udzielonym Paulinie Reiter, „są częścią nas, częścią ludzkiej historii, naszej tożsamości. Obcując z nimi, czujemy, że jesteśmy – mimo wszystko – częścią jednej wspólnoty ludzkiej”. Nie ma znaczenia, czy przeszłość, o którą dbamy, jest nasza, czy obca, nie nasza. O każdą warto dbać, każdą warto zachować, także spuściznę tych, których lokalnie już nie ma. Bo dziedzictwo nie musi być spuścizną po bezpośrednich przodkach. Znaki istnienia podlaskich muzułmanów w Studziance, lubuskich przemysłowców o niemieckim rodowodzie w Barwinku,

mazurskich ewangelików, karpackich Łemków czy Żydów w dolnośląskim Dzierżoniowie to dobro wspólne rozumiane w najszerszym – ogólnoludzkim – sensie.

Są wśród nas zapaleńcy, dla których świadectwa przeszłości warte są godzin pracy. Kolejne strony tej książki to ich historie – tych, którym zależy na takiej pamięci. Bohaterowie i bohaterki książki robią nie tylko to, co trzeba, by znaki przeszłości po prostu przetrwały, ale też by wręcz powstały z gruzów, jak w przypadku działań Stowarzyszenia na rzecz Ochrony Dziedzictwa „Młyn-Papiernia”, lub aby inni ludzie zdali sobie sprawę z ich istnienia – co dla detalu architektonicznego Łodzi robi Centrum Inicjatyw na rzecz Rozwoju „REGIO”.

Warto też pamiętać, że obok tych, którzy dbają o „stare kamienie”, występują także ludzie podtrzymujący tradycje, czyli tak zwane dziedzictwo niematerialne. Uczą siebie i innych ginących umiejętności czy zanikającej wiedzy, chociażby budownictwa ryglowego, pisania ikon czy gry na harmonii pedalowej.

Wszystkie aktywności były podejmowane na obozach wolontariackich – kilkudniowych wspólnych działaniach grupy osób. Dzięki wyjątkowemu programowi *Wolontariat dla dziedzictwa* Narodowego Instytutu Dziedzictwa ludzie z różnymi motywacjami, różną wiedzą, odmiennymi umiejętnościami i doświadczeniami mogą się spotkać, by razem pracować dla dobra wspólnego – naszego dziedzictwa.

Taka praca, obok realnej poprawy sytuacji zabytków, ma także dodatkową wartość. Przykuwa uwagę lokalnej społeczności, pozwala zobaczyć to, co przez lata było niedostrzegane i niedoceniane. Wspiera powstawanie grup, które angażują się w działania na rzecz dziedzictwa – lokalnej tożsamości. Może motywować władze samorządowe do większego zaangażowania się na rzecz zabytków, może też być motorem rozwoju społecznego i kulturowego. I – co równie ważne – daje wolontariuszom i wolontariuszkom frajdę i satysfakcję z wykonywanej pracy. Mamy nadzieję, że odzwierciedlenie tego poczucia satysfakcji znajdą Czytelnicy w dziesięciu reportażach opartych na słowach kluczach: dziedzictwo i wolontariat.





# Skala światowa

Olga Gitkiewicz

## NGO

Stowarzyszenie „Wieża Księżęca w Siedlęcinie”



Obóz dla wolontariuszy *Odkrywamy własne dziedzictwo*

Obóz dla wolontariuszy *Ścieżki dziedzictwa*



Siedlęcin



Mogłoby jej już nie być. Ile wojen, ilu władców, ile zmian systemów, zmian granic, ilu osadników i przesiedlonych widziała? Mogła się dawno zawalić, spłonąć – z tą ilością drewna w stropach i schodach to było przecież bardziej niż prawdopodobne.

Ale jest sierpień 2017 roku, a ona stoi.

Dzięki temu drewnu zresztą wiadomo, od jak dawna.

Drewniane stropy wykonano z jodły ściętej w 1313 roku, te nad kolejnymi piętrami wiosną 1314, następne jesienią 1314 i wiosną 1315 roku.

Wzniósł ją książę jaworski Henryk I, a kiedy zaczynał budowę, miał ledwie osiemnaście lat. Dostał własne, dość zamożne księstwo, był ambitny, wykształcony. Tuż przed śmiercią kazał wymalować na ścianach barwne polichromie z moralizatorską legendą o sir Lancelocie. Kaprys? Bardziej znak czasów. W tych rejonach wielu rycerzy nosiło imię Tristan, Lancelot. Wiedli barwne, kolorowe, rycerskie życie – jak z arturiańskich legend. A ciemne, ponure średniowiecze? To mit.

## Warstwy

Można tu przyjść z Jeleniej Góry na piechotę, piękną trasą wzdłuż Bobru.

Na kamiennym murze znajduje się tablica ze strzałką i napis: „Wieża Książęca w Siedlęcinie z malowidłami o Lancelocie. XIX wiek”.

Nad bramą wejściową powiewa flaga Dolnego Śląska. A brama jest średniowieczna – w budynku, który wyglądał na dziewiętnastowieczny. Teraz mury i fundamenty są częściowo odkryte, widać, ile mają warstw. Ten budynek to dawny dwór, prawdziwe architektoniczne puzzle. Są w nim elementy czternastowiecznej bramy, piętnasto- i szesnastowiecznych domów, kuchni z XVII wieku. Na przelomie XVIII i XIX wieku został scalony w jedną bryłę.

W głębi widać wieżę. To:

- największa średniowieczna wieża mieszkalna w Europie Środkowej (20x15 m);
- jedyne zachowane na świecie średniowieczne malowidła z legendą o sir Lancelocie;
- najstarsze w Polsce malowidła ściennie o tematyce świeckiej;
- najstarsze w Polsce kompletne stropy drewniane.

Każdy, kto do wieży wchodzi, może te informacje przeczytać na banerze zawieszonym obok bramy.



– My się czasem zastanawiamy, czy nie za bardzo epatujemy tym naj, naj – mówi Przemysław Nocuń ze Stowarzyszenia „Wieża Książęca w Siedlęcinie”, które opiekuje się obiektem. – Ale to są fakty. Wieża jest przykładem dużego dziedzictwa, w tej terminologii, którą my się posługujemy. To jest obiekt, który w powszechnej świadomości funkcjonuje jako rzecz godna zachowania, dziedzictwo historyczne.

Wieżę opiekuje się Fundacja „Zamek Chudów”. Stowarzyszenie wspiera ją w tych działaniach. Organizuje letnie obozy wolontariackie, prowadzi prace archeologiczne, remonty, promuje obiekt i po prostu o niego dba.

Pracy jest dużo. Po II wojnie światowej teren wieży należał do PGR-u, po jego likwidacji w dworze były popegeerowskie mieszkania. Ucierpiało wtedy wiele zabudowań. Niekiedy na opał wędrowały belki z konstrukcji stropów lub dachów stodół. Część z budynków się zawaliła.

– Jestem z Katowic, a przyjeżdżam do Siedlęcina od lat. To wyglądało kiedyś jak niezadbany folwark – opowiada turysta, który przypina rower do stojaka.

– Ta wieża to był obraz nędzy i rozpaczy – zgadza się Przemysław Nocuń, który zanim jeszcze zaczął działać w stowarzyszeniu, przyjeżdżał do Siedlęcina prowadzić prace archeologiczne. – Tynki i malowidła odspajały się od ścian, stropy były naderwane. Ościeża wejścia były zarzucone cementowym tynkiem,



pod którym odsłoniły się kanały w murze. Tkwiło w nich drewno. Okazało się, że to oryginalne rygle z XIV wieku.

Nie ma drugiego miejsca w Polsce, gdzie są oryginalne średniowieczne rygle drewniane.

– Ale my tu musimy ciągle walczyć – zaznacza Nocuń. – Wieżbę jedzą kołatki, odkrył to dendrolog. Na szczęście w tym roku nasz wniosek złożony do ministerialnego programu *Ochrona zabytków* został pozytywnie oceniony i otrzymaliśmy środki na najpilniejsze prace. Kolejny kryzys został zażegnany.

Słuchają go turyści, którzy przyjechali zwiedzić wieżę, słuchają go wolontariusze, słucha starszy mężczyzna z psem. To mieszkaniec Siedłęcina, przychodzi tu prawie co dzień traktem, który ma kilkaset lat. Kiedyś ta średniowieczna ścieżka była jedyną prowadzącą z górnego do dolnego Siedłęcina. Dziś ludzie nadal nią chodzą. Jeszcze kilka lat temu tylko skracali sobie tędy drogę, jedynie zerkając na członków stowarzyszenia i rzadko interesując się ich pracą, dziś coraz częściej skręcają do wieży i chętnie rozmawiają o kolejnych odkryciach i sukcesach.

– Cieszy nas, że coraz więcej mieszkańców Siedłęcina do nas zagląda, bo zdarzało się jeszcze parę lat temu, że ktoś przyszedł i wychodząc, mówił: ja tu mieszkam sześćdziesiąt lat i jeszcze w tej wieży nie byłem – opowiadają ludzie ze stowarzyszenia oraz pracownicy wieży.

– Przyjeżdża tu trzynaście tysięcy turystów rocznie i to nie jest jeszcze tyle, żeby wieża się sama finansowała. Nie jest jeszcze w stanie zarobić na prąd, trzeba do niej dopłacać. Pewnie byłoby taniej utrzymywać ją zamkniętą, niż udostępnić do zwiedzania – wzdycha Nocuń. – Ale wraz z właścicielem wieży liczymy, że rok, dwa i wieża się zacznie bilansować, a może nawet dawać dodatkowe środki na inwestycje.

## **Wielkie słowa i trudne pytania**

Kiedy się mówi o dziedzictwie, zazwyczaj używa się wielkich słów: pamięć, historia, tożsamość, spuścizna. Ale jest jeszcze jeden, bardzo wymierny i przyziemny aspekt, bez którego o dziedzictwie trudno w dzisiejszych czasach się dyskutuje. Pieniądze. Wie coś o tym doktor Michał Koskowski, specjalista od zarządzania dziedzictwem, który współpracuje ze stowarzyszeniem od niemal dekady. Od dwóch lat prowadzi dla siedlecińskich wolontariuszy warsztaty z zarządzania dziedzictwem. Pokazuje im, że dziedzictwo nie musi być skarbonką,

że każdy obiekt jest jedyny w swoim rodzaju, że nie ma gotowych schematów postępowania. I wspólnie z nimi zastanawia się, co można zrobić, żeby takie obiekty, jak wieża w Siedlęcinie, przynosiły pieniądze. Niekiedy w czasie takich burz mózgow padają niewygodne pytania: dlaczego jakiś obiekt jest ważny? Z jakiego właściwie powodu się go chroni? Te dyskusje są burzliwe. I to jest chyba istota działań związanych z dziedzictwem.

– Profesor Gregory Ashworth mawiał, że dziedzictwo to jest to, co robimy z przeszłości. Bierzemy coś z dawnych czasów i robimy z tym coś dzisiaj – tłumaczy Michał Koskowski. – Jeśli coś nie wzbudza naszych emocji, nie angażuje nas, to nie jest dziedzictwo. A wieża wzbudza emocje.

## **Na szlaku dziedzictwa**

Do Siedlęcina od lat przyjeżdżają wolontariusze. W tym roku również. Część z nich to studenci i absolwenci archeologii, jest też młodzież z francuskiej organizacji REMPART, która pod okiem specjalistów odbudowuje fragmenty muru podtrzymującego groblę. Część to członkowie letniego obozu *Ścieżki dla dziedzictwa*, dotowanego przez Narodowy Instytut Dziedzictwa. Tych ostatnich jest dziesięcioro. Spędzą w Siedlęcinie dziewięć dni. Poznają wieżę i problemy z jej utrzymaniem, na warsztatach zastanowią się, czy – i jak – mogą je rozwiązać. Zwieńczeniem obozu będzie przygotowana przez nich ścieżka dziedzictwa – wyznaczenie turystycznej trasy szlakiem najważniejszych i najciekawszych obiektów w okolicy. Takich tras nieopodal Siedlęcina jest już kilka: w ubiegłym roku ścieżka wiodła szlakiem nadbobrzańskich wież, jest też szlak dawnego górnictwa srebra i złota, szlak zapomnianych zamków Jeleniej Góry.

W tym roku ścieżka prowadzi do ruin średniowiecznego zamczyska, a jej kluczowym elementem jest sama Wieża Książęca.

## **Ślady**

Kiedy ją wybudowano, miała dziewiętnaście metrów wysokości i cztery kondygnacje. Stała na pagórku otoczonym murem obronnym i fosą. Dziś po murze pozostały tylko ślady.

Z głośników słychać średniowieczną muzykę, jest naturalnym tłem rozmów, akompaniamentem posiłków. Krząta się tu mnóstwo ludzi.

Na schodkach prowadzących do wieży czyjaś życzliwa ręka ustawiła naczynia z polnymi kwiatami.



Na dolnych kondygnacjach jest chłodno, mimo że to końcówka sierpnia, wyżej pachnie suchym drewnem i piaskiem. Trochę słychać wiatr.

Na każdym z pięter na tynku widać napisy. Jeden z nich wydrapał jakiś Martin, w 1644. Wandał z XVII wieku.

Ale są też inne:

W. Reinhard;

Grimmig 1866;

Bormann 1883 sąsiaduje z Markiem B 1978.

Nikt ich nie usuwa. To też są ślady przeszłości. To też jest dziedzictwo.

## Trudne dziedzictwo

Dolny Śląsk jest usiany zabytkami. Ale paradoksalnie, jeśli chodzi o dziedzictwo, nie jest to rejon łatwy.

Wieś Płoszczyna, położona niecałe dziesięć kilometrów od Siedlęcina, po niemiecku nazywała się Flachenseiffen, a seiffen to „płukać”. W tych rejonach kiedyś, kiedyś płukano złoto, dawni mieszkańcy o tym wiedzieli, w powojennej nazwie zostało to w pewien sposób zachowane. Dziś niewielu jest mieszkańców Płoszczyny, którzy wiedzą, skąd pochodzi ta nazwa. Na Dolnym Śląsku lokalne nazwy funkcjonowały w pamięci ludzi, były przekazywane z pokolenia na poko-

lenie, tak jak się to dzieje w innych rejonach. Ale kiedy ci ludzie stąd zniknęli i pojawili się nowi, cała wiedza na temat tradycyjnego nazewnictwa zanikła i ten wymiar dziedzictwa się zatarł.

To zresztą niejedyny przykład kłopotów z dziedzictwem. Podczas prac członkowie stowarzyszenia wydobyli z fosy pozostałości pomnika mieszkańców Siedlęcina, którzy zginęli podczas I wojny światowej. Niemców.

– On był ustawiony przy dawnym kościele ewangelickim, który stał się kościołem katolickim, a pomnik w nieznanym nam okolicznościach został rozbity. I wrzucony do fosy. Myśmy go wyjęli i ułożyli – wspomina Przemysław Nocuń. – O tym też dużo rozmawiamy z wolontariuszami. W jaki sposób takie dziedzictwo pokazywać, jak promować, czy mieszkańcy będą się z tym utożsamiać, czy nie. Odwiedziliśmy też miejscowość, gdzie jest podobny pomnik. Zadbany, trawka wykoszona, pamiątkowy napis. Tamtejsi mieszkańcy powiedzieli: „Nie będziemy dzielić mieszkańców na lepszych czy gorszych, my jesteśmy mieszkańcami, oni byli mieszkańcami, a to, że historia nas rozdzieliła, to inna sprawa”. My nasz pomnik jeszcze traktujemy w kategoriach tego trudnego dziedzictwa.

## **Zrozumieć wieżę**

Siedleńscy wolontariusze są młodzi. Kończą studia albo od niedawna pracują. Martyna (po historii) i Justyna (po kulturoznawstwie) – w korporacjach. Krzysztof studiuje historię sztuki, Artur skończył architekturę, Dominika i Marysia – historię sztuki, druga Justyna jest na archeologii.

Taka jest zresztą idea obozu – zaangażowanie młodych ludzi w poznawanie dziedzictwa kulturowego i budowanie świadomości potrzeby ochrony obiektów zabytkowych.

Ta świadomość akurat tutaj, w Siedlecinie, jest bardzo wyraźna. Nikt nie trafił tu przypadkiem, niektórzy są już drugi raz. Martyna wcześniej udzielała się w Fundacji „Zamek Chudów”, do której wieża w Siedlecinie należy.

– Ja funkcjonuję w Kole Przewodników Beskidzkich i tam się nauczyłam takiego działania, dawania czegoś od siebie – tłumaczy. – Teraz pracuję w korpo, a jak się pracuje, człowiek ma świadomość, że dysponuje ograniczoną ilością wolnego czasu i myśli, że warto go sensownie wykorzystać.

Dominika i Marysia były na zeszłorocznym obozie. Justyna dowiedziała się o wieży z gry planszowej *Duch gór*. Potem przyjechała do wieży turystycznie,

rozmawiała z pracownikami, a w tym roku wróciła na obóz. Pracuje jako graficzka i swoje umiejętności chce wykorzystać na obozie.

– Teraz zajmujemy się razem z dwiema innymi dziewczynami unowocześnieniem tablic informacyjnych. – Justyna pokazuje ekran laptopa, na którym widać rozrysowane plany pięter wieży. – Chcemy, żeby one były atrakcyjne, przejrzyste, przyciągnęły jak najwięcej ludzi.

– Myślmy, że to bardzo pomoże zrozumieć tę wieżę – dopowiada Dominika.

– My z Krzysztofem zajmujemy się legendą arturiańską, też będziemy przygotowywać tablice i nagranie audio, nagranie legendy jako opowiadania w stylu średniowiecznym – mówi Martyna.

Artur i druga Justyna przeszli prawie cały Siedlęcín, by opowiedzieć mieszkańcom o wieży i planowanym na sobotę spacerze. Wypytywali też o lokalne budynki, o otoczenie wieży, trochę nowych rzeczy się dowiedzieli. Dobrze ich przyjęto, są zadowoleni.

## **Bilans**

Kiedy słyszą pytanie o to, czy wolontariat jest dla nich poświęcaniem się, najpierw się śmieją, a potem zamyślają.

Justyna:

– Ja nie uważam, że to jest działanie w jedną stronę. To jest superplatforma rozwoju dla nas. Coś bierzemy i coś dajemy.

Krzysztof:

– Ja tu się bardzo dużo uczę. Nigdy bym się tyle nie nauczył, siedząc w domu. To nie jest tak, że się poświęcam, tylko dużo zyskuję.

Marysia:

– Tu są unikatowe polichromie, znaleziska archeologiczne. Wieża to zabytek na skalę światową. Ja się interesuję historią sztuki i moim celem jest rozpropagowanie tej wieży, bo to jest niezwykle miejsce.

Justyna:

– Jest fajna wymiana energii, bierze się stąd inspirację, pasję tych ludzi, których tutaj spotykamy. To jest fajne, że każdy tu może wykorzystać swoje umiejętności, to, co umie robić najlepiej, że nas się tu też słucha.

Dominika:

– Możemy się mnóstwo nauczyć od ludzi o gigantycznej wiedzy. Od nas z roku nikt nie pojechał na taki wolontariat, a my wręcz przeciwnie, chcemy się



jeszcze bardziej zaangażować. Uczymy się, nawiązujemy kontakty, pomagamy obiektowi, który chcemy, żeby przetrwał lata.

Marysia:

– My często po godzinach sobie siedzimy, analizujemy, pracujemy, ani się spostrzeżemy, a wciąż coś robimy, zamiast na przykład wypocząć.

## Ścieżka dziedzictwa

Dziewiętnastego sierpnia, przed południem. Ważny dzień. Najważniejszy. Wolontariusze przygotowawali się do niego przez cały obóz.

– Boimy się o pogodę. Ma być zimno, deszcz – mówią trochę niespokojnie.

Ale pogoda jest łaskawa, turyści też się zjawiają. Niektórzy aż z Liverpoolu i ze Swindon.

Wolontariusze sami wybrali szlak, którym wiedzie ścieżka dziedzictwa 2017, sami prowadzą turystów. Musieli się przygotować, podzielić rolami, nauczyć historii i topografii regionu. Nieco z tyłu duch średniowiecza, w tej roli – Przemysław Nocuń. W stroju z epoki nie ma gdzie schować komórki.

Pierwszy przystanek to Młyn Polski, Martyna opowiada o historii tego miejsca. Potem ścieżka wiedzie pod górę. Przez chwilę jest stromo, w przeciwną stronę zbiega z pagórka wystraszona sarna. Ale nikt nie narzeka, to punkt widokowy w załomie rzeki Bóbr, wszyscy robią zdjęcia.

Na polanie między drzewami staje Justyna. Mówi o lesie. O drzewach dobrych, jak brzoza, i drzewach złych, jak cis.

– Jesteśmy na średniowiecznym trakcie, to była jedyna droga do zamku. Las wtedy pokrywał wielki obszar, a wioski były plamami pomiędzy puszciami – tłumaczy trochę zdenerwowana, ale ludzie słuchają uważnie. Dziedzictwo szumi dookoła, wysokie na dobrych kilkanaście metrów.

A potem zamczykisko, a właściwie jego pozostałości na stromym wzniesieniu, i powrót do Siedlęcina z przystankiem przy zaporze na Bobrze.

Po wieży oprowadza duch średniowiecza, dopiero na wyższych kondygnacjach historię snują wolontariusze: Krzysztof opowiada o legendzie arturiańskiej i malowidłach, druga Justyna o jej znaczeniu dla średniowiecznych rycerzy, a na najwyższym piętrze Artur tłumaczy, jak sytuować wieżę w lokalnej perspektywie i co widać z okien.





## My

„W naszej wieży”, „nasz szlak”, „nasza praca”, mówią tu wszyscy: i członkowie stowarzyszenia, i wolontariusze, i współpracownicy.

– My się identyfikujemy z tym obiektem – mówi poważnie Justyna, a Martyna i Krzysztof przytakują.

– Jest takie pojęcie, po angielsku ono robi karierę, *heritage community*. Społeczność danego dziedzictwa, konkretnego obiektu. Zabytki wzbudzają emocje w jednych ludziach, a w innych nie. Ja się utożsamiam z tą wieżą – przyznaje Michał Koskowski. – Zawodowo, ale też z serca jestem ambasadorem tego miejsca. Dlatego mówię zawsze o Siedlęcinie „my”.

## Ciąg dalszy

Siadają w kole, na trawie u stóp wieży, której przecież mogłoby tu już nie być. Analizują, śmieją się. Są emocje i to widać.

To już ostatni wieczór w Siedlęcinie. Jutro wyjadą.

Ale ten obóz, chociaż się kończy, tak naprawdę będzie jeszcze trwać.

– Ścieżka to było takie zwieńczenie obozu, ale nie do końca. Bo my zaangażowaliśmy się w tę wieżę i to będzie trwać, bo mamy taką potrzebę – tłumaczy Justyna.

Justyna będzie pracować nad tablicami i identyfikacją wizualną wieży. Przed kolejnym sezonem Martyna chce przyjechać do Siedlęcina i oznakować w terenie szlaki dziedzictwa – te z tego roku i te z lat ubiegłych. Marysia i Dominika zamierzają zapisać się do stowarzyszenia.

– Tu chodzi o pasję – mówi Dominika. – To się po prostu chce robić, bo to płynie z serca, chce się tu przyjeżdżać i patrzeć na to.

– Budowanie społeczeństwa obywatelskiego jest mozolne i jest trudne – przyznaje Przemysław Nocuń, zerkając na swoich współpracowników. – Ale to są liderzy wolontariatu. Oni tu się czegoś nauczą i będą tę wiedzę przekazywali dalej, u siebie. Ta idea będzie pączkować i takich osób będzie coraz więcej.





# Co wioska, to inna piosenka

Berenika Steinberg

**NGO**

Fundacja „Energia Społeczna”



EtnoWolontariat



Żywiec, Kamesznica, Złatna, Rajcza, Ślemień



## Gwara to tożsamość

– Pozwólcie rozmówcom, żeby płynęli w swojej opowieści, zaprosicie ich do przeniesienia się wspomnieniami do domu rodzinnego, w czasy młodości. I nie napierajcie, nie naciskajcie. Kiedy pojawia się ktoś z zewnątrz, nasi ludzie automatycznie się zmieniają. Chcą lepiej wypaść, zaczynają mówić czysto. A przecież nam zależy na tym, żeby mówili gwarą! A więc wzbudźcie ich zaufanie, a potem zbierajcie plony pięknych historii – tymi słowami etnologka Dorota Gryglak kończy swój wykład wprowadzający nas w tajniki gwary Górali Żywieckich.

Jesteśmy w Rajczy, miejscowości w Beskidzie Żywieckim. Właśnie zaczął się obóz *EtnoWolontariat* zorganizowany przez Fundację „Energia Społeczna”. Fundacja działa na terenie Żywiecczyny od 2015 roku. Jej celem jest budowanie kapitału społecznego, który będzie zaangażowany w rozwiązywanie problemów regionu. W szkołach gminnych realizuje projekt edukacyjny *Uwalniamy Energię Społeczną*. To warsztaty, podczas których uczniowie zakładają szkolne kluby wolontariusza, organizują zbiórki dla zwierząt, tworzą system segregacji odpadów PET. Krótko mówiąc – uczą się odpowiedzialności obywatelskiej. *EtnoWolontariat* to nowość w działalności Fundacji „Energia Społeczna”. Tym razem na zorganizowany przez fundację obóz zjechali wolontariusze z całej Polski. Oprócz gimnazjalistów z okolicznych wsi są wśród nas między innymi licealiści ze Śląska, studenci z Poznania i Warszawy. Zaraz z pobliskiej Kamesznicy przyjedzie do nas pan Józef, pamiętający jeszcze czasy przedwojnia. Nagranie z naszego spotkania trafi niebawem do powstającego właśnie internetowego Archiwum Ludowego – zwieńczenia obozu i zarazem najnowszego przedsięwzięcia Energii Społecznej.

– Będzie to sklasyfikowany zbiór materiałów dotyczących kultury ludowej Beskidu Żywieckiego – tłumaczy mi Rafał Bałaś, pomysłodawca i współorganizator obozu. – Początkowo będą to materiały zebrane podczas najbliższego tygodnia przez wolontariuszy: fotografie architektury drewnianej, nagrania ludowych muzykantów i wspomnień starych górali posługujących się gwarą. A więc wszystko, co składa się na dziedzictwo kulturowe naszego regionu. Z czasem Archiwum będzie się rozrastać, zamieni się w platformę społeczną – każdy posiadający ciekawe zdjęcia, czy nagrania, z pomocą moderatorów będzie mógł umieścić je na stronie.

Czekamy jeszcze chwilę na pana Józefa, więc korzystając z okazji, podchodzę do Doroty. Jest szczupła, ma ciemne włosy i okulary w czarnej oprawce. Pytam, kiedy nauczyła się mówić gwarą.

– Gwarę i język polski poznawałam równolegle. Urodziłam się dwa kilometry stąd, w Rycerce. Moi dziadkowie mówili w domu gwarą, ale rodzice już mniej. Ich pokolenie wychowało się po wojnie, w PRL-u. W szkołach nauczyciele bili i stawiali dwóje za mówienie gwarą. Trzeba było być nowoczesnym, a gwarę utożsamiano z zacofaniem i ciemnotą. Często do dzisiaj ludzie wstydzą się jej używać, nie potrafią się przemóc – właśnie przez to dawne napiętnowanie. Do swojej córki mówię gwarą. I moja mama mnie wtedy krytykuje: „Mów do niej ładnie”. A ja przecież mówię ładnie! Chcę, żeby córka się osłuchiwała, bo przecież jeśli człowiek od małego nie uczy się gwary, ona zwyczajnie zaginie. Pozostaną jedynie nagrania, a my będziemy takimi przebranymi góralami – w stroju, ale bez tożsamości. Bo gwara to tożsamość. Na szczęście są ludzie, którzy walczą o jej przetrwanie.

Przychodzi pan Józef, siadamy razem z nim przy stole. Wolontariusze, z początku onieśmieleni, biorą przykład z Rafała i Doroty, i z minuty na minutę odważniej zadają pytania. Jak dawniej wyglądało wesele? (Furmanką się jechało, a nie żadną limuzyną). A jak ktoś zachorował, to co? (Wtedy zielarki i znachory, bo najbliższy lekarz to w Żywcu był). A jak kiedyś podrywało się dziewczyny? (Jak kto umiał). A mieszkali tu przed wojną Żydzi? (Oczywiście, w Milówce, tam, gdzie teraz Lewiatan, mieli bóżnicę). Po dwóch godzinach czas na ostatnie pytanie:

– Proszę nam wytłumaczyć, co robić, żeby żyć tak długo i szczęśliwie jak pan?

– Ja sam sobie nie umiem tego wytłumaczyć! – odpowiada pan Józef i cała sala wybucha śmiechem.

## **Warto mieć korzenie**

– Mówiono u nas: „nie mów gwarą, bo żeś jest ćwok” – potwierdza wczorajsze słowa Doroty Małgorzata Filary.

Jesteśmy w jej domu rodzinnym w Kamesznicy, gdzie mama Małgorzaty specjalnie dla wolontariuszy przygotowała żywiecki przysmak – kluski na parze z sosem malinowym. Małgorzata ma wysokie kości policzkowe i włosy koloru pszenicy, spięte w gruby, długi kucyk. Dziś pozna nas ze swoją sąsiadką panią Hanią, a potem zaprosi na wspólny podwieczorek małżeństwo leśników mieszkających w pobliskim dworku po Habsburgach.

– Nie przejmowałam się tym – ciągnie Małgorzata. – Od małego dużo czasu spędzałam z dziadkami, którzy przekazywali mi wiedzę przeszłych pokoleń.



Więc jako dziecko po prostu przesiąkałam naszą żywiecką tradycją. I to samo chcę przekazać najmłodszemu pokoleniu. Od trzech lat jestem prezesem Stowarzyszenia na rzecz Rozwoju Kamesznicy „Proćpok”. Kto to Proćpok? To nasz legendarny lokalny zbój. Działamy po to, żeby coś tu we wsi się działo, badamy historię, odtwarzamy dawne zwyczaje, organizujemy w szkołach konkursy. W ogniskach muzycznych Fundacji Braci Golec, gdzie uczę tradycyjnej gry na skrzypcach, rozbudzamy w dzieciakach tożsamość regionalną. Dużo z nimi rozmawiamy, spędzamy czas, uczymy tekstów gwarowych. Mamy ucznia, który chodzi równoległe do szkoły muzycznej w Żywcu – a tam, wiadomo, nie jest dobrze widziane, kiedy ktoś gra muzykę ludową. Na początku widziałam, jak go znajomi hejtowali na Facebooku. Ale on jest tak umocowany w tym, co robi, że nikt mu nie podskoczy. I teraz, kiedy wrzuca jakieś swoje zdjęcia z występów czy konkursów ludowych, piszą mu: „super!”. Jeśli wiesz, skąd pochodzisz, to znasz swoją wartość i masz w sobie siłę na całe życie.

– Pan Józef to twój wujek. Wiesz może, jak przyjął spotkanie z nami? – dopytuję.

– To było dla niego wielkie przeżycie! Ludzie, z którymi rozmawiacie, są przeszczęśliwi, że ktoś jest nimi zainteresowany i chce słuchać ich opowieści. To dla nich ważne prywatne wydarzenia. Przecież często wnuki nie bardzo chcą



ich słuchać, nie wypytują o przeszłość. A w tym wieku to naturalna potrzeba – wspomnianie czasów młodości – wyjaśnia Małgorzata.

Po obiedzie Małgosia prowadzi nas do pani Hani, znawczynie góralskich przyspiewek – słyęła z nich dawniej na każdej wiejskiej potańcówce i uroczystości. Siadamy razem w ogrodzie, córka pani Hani donosi nam wafelki, delicje i colę. Za plotem brzęczą pszczoły, a pani Hania śpiewa:

Gorzała sosna, gorzała,  
 pod nią dziewczyna leżała.  
 Iskierki na nią padały,  
 Jasiowe ocka płakały.

## Zarazić folklorem

Pani Janina ma opaloną twarz, pełną wesołych zmarszczek. Siedzimy w głównej izbie jej kolorowej chałupy i słuchamy, jak czyta nam swoje wiersze. W rogu pokoju stoi zielona kafłowa kuchnia z blachą. Na stole przykrytym ceratą świeże kwiaty otaczają mały krzyż z Chrystusem. Kiedy wychodzimy na podwórko, pani Janina wyprowadza ze stajni Gniadego, swojego ukochanego konia.

– Nie dawniej, jak wczoraj go zaprzęgałam i pojechałam do lasu po drewno – mówi.



Do Rajczy wracam samochodem z Rafałem. Rafał jest szczupły i energiczny. Jasne kosmyki opadają mu równo na czoło, „po góralsku” – tłumaczy mi z dumą. Z głośników lecą ludowe kołysanki zespołu Dudy Skrzypce, w którym Rafał gra na dudach.

– Skąd pomysł na obóz *EtnoWolontariat* i Archiwum Ludowe? – pytam.

– Kultura ludowa Beskidu Żywieckiego od zawsze była moją pasją. Oprócz gry w kapelach uczę dzieciaki gry na kontrabasie, instrumentach pasterskich, dudach. Zresztą od paru lat zajmuję się też budowaniem dud żywieckich. Ale w Energii Społecznej do tej pory skupialiśmy się na czymś zupełnie innym – przede wszystkim działamy w obszarach aktywności obywatelskiej. Koledzy i koleżanki z fundacji nie podzielali mojej pasji do folkloru. Zresztą, nie dziwię im się, rzeczywiście, jeszcze niedawno folklor kojarzył się z klimatem biesiadnym, kapelami góralskimi, którym mniej zależy na muzyce, a bardziej na piciu i opowiadaniu głupich kawałów o bacy. Któregoś razu, podczas wspólnej wyprawy w góry, każdy z członków fundacji miał zrobić pozostałym jakiś warsztatik. Nie chcę tutaj używać wielkich słów typu „misja” czy „wizja”, ale kiedyś sobie po prostu w głowie ubzdurałem, że chciałbym ludzi zarażać przekonaniem, że folklor to naprawdę coś fajnego, że kultura ludowa jest wartościowa i pełna mądrości. Dlatego na swoje warsztaty pozbierałem wszelkie moje graty, instrumenty ludowe, piszczałki i przez dwie godziny uczyłem kolegów grać – tak, że na końcu mogliśmy zagrać coś razem. Dzięki temu dostrzegli w folklorze coś, czego wcześniej nie widzieli, i zaczęli się nim interesować. Z tego właśnie narodził się w fundacji pomysł na obóz *EtnoWolontariat* i Archiwum Ludowe. Bardzo mi na tym przedsięwzięciu zależy. Oprócz materiałów związanych z żywiecką architekturą drewnianą na obozie utrwalamy też dziedzictwo niematerialne. A więc folklor, który pozostał w gwarze, używanej przez starych górali, w ich wspomnieniach, w muzyce, którą grają.

– A jak się czujesz, pokazując kulturę swojego regionu wolontariuszom?

– Najważniejsze jest to, że nie poznają jej z książek czy filmów, tylko widzą ją dookoła. Fotografują stare chałupy, rozmawiają z ludźmi, słuchają na żywo tradycyjnych instrumentów. Pokazujemy im, że tradycje żywieckie to nie skamieniałość. Właśnie – we wrześniu razem z Energią Społeczną i Towarzystwem Sportów Górskich „Młóckarnia” organizujemy akcję *Czyste Beskidy* – będziemy wspólnie sprzątać nasze góry. Przyjeżdż koniecznie!



## Czerpać z tego, co się ma

Zza chmur wyszło słońce. Trawy i krzewy przy drodze są jeszcze mokre od deszczu. Co jakiś czas mija nas samochód pełen dziewczyn i chłopców w tradycyjnych góralskich strojach. Schodzimy wtedy na pobocze i machamy sobie nawzajem. Zazwyczaj droga prowadząca na Halę Baranią jest zamknięta dla samochodów, ale dzień jest wyjątkowy. Rozpoczyna się III Zjazd Karpacki, prawdziwe święto ludzi gór. Na seminaria, dyskusje, koncerty zjadą górale z całych Karpat – od Rumunii po Słowację. A dziś na Hali Baraniej skromny, ale ważny początek – poświęcenie ułożonych w obelisk kamieni, pozostałości po bacówce sprzed dwustu lat. Idziemy już od godziny, czuję na policzkach świeże ostre powietrze. Razem z Julką zostajemy trochę w tyle, zbyt zajęte jesteśmy jedzeniem jagód prosto z przydrożnych krzaków. Julka mieszka w pobliskich Łodygowicach. Ma trzynaście lat i właśnie skończyła dwuletnią klasę mistrzowską w Fundacji Braci Golec, gdzie gry na skrzypcach uczy się od szóstego roku życia. Przez cały obóz nie widziałam jej ani razu z komórką. Wygląda na delikatną, ale wczoraj to ona poprowadziła za lejce Gniadego, kiedy nikt z nas nie wiedział, co zrobić, gdy pani Janina lekkim tonem rzuciła: „Zaprowadźcie go na łąkę, ja zaraz przyjdę”.

– Jestem pierwszym pokoleniem w mojej rodzinie, które zajmuje się kulturą ludową naszego regionu – opowiada mi Julka. – Moi pradziadkowie po wojnie przenieśli się tu z Górnego Śląska. Ale ja czuję się góralką. I to nie śląską, ale właśnie żywiecką. Bo tutaj, proszę pani, jest tak pięknie! Ta przyroda, te zwyczaje, ta gwara!

– A kultura żywiecka bardzo się różni na przykład od podhalańskiej?

– Powiem pani tak – mówi Julka tonem znawcy – ja się bardzo interesuję strojami. I stroje Góralek Podhalańskich w porównaniu z naszymi są jakies takie ubogie... Bo Góralka Żywiecka ma pełnię kształtów kobiety! Jak jeszcze dziewczyna umie sobie nakrochmalić halkę, to już w ogóle! A to wcale nie jest łatwe. Mi pomaga babcia i jak nam dobrze wyjdzie, to taka halka trzyma się nawet przez dwa koncerty. Kto mi uszył strój? Są tutaj krawcowe, które się tym zajmują. Jeszcze rosnę, więc nie opłaca mi się szyc z lepszych materiałów. Ale jak już będę starą babą, to uszyję sobie coś pięknego! I marzę jeszcze, żeby mieć tradycyjne góralskie korale – z prawdziwego koralowca! Gdzie występuję? Należę do zespołu regionalnego Magurzanie, który zrzesza naszą gminę. Na razie jestem jeszcze w Małych Magurzanach, ale ci starzy to jeżdżą po całym świecie, są jak jedna wielka rodzina. Trochę jak my tutaj na obozie, kiedy siadamy do tych



wszystkich stołów i razem jemy, rozmawiamy... Wszyscy, jak tu jesteśmy, siedzimy w kulturze, i to niekoniecznie naszego regionu. Dzięki temu zdajemy sobie sprawę, jak strasznie dużo dają nam te wywiady ze starszymi ludźmi. Nie tyle frajdy, ile informacji. Zajmuję się muzyką, więc ciekawa jestem przyśpiewek, które nam ci ludzie śpiewają. Niesamowite jest to, że na jeden tekst może być parę różnych melodii. Jeden zaśpiewa tę samą przyśpiewkę powoli, z jakimś takim smutkiem, a drugi jak do obyrtki, czyli żwawo i z uśmiechem. Co to obyrтка? Najpierw chłopak śpiewa dziewczynie albo wszystkim zebranym przyśpiewkę, a dziewczyna albo pozostali odgryzają mu się inną przyśpiewką. A potem tańczą. To chyba nasz najładniejszy taniec. Nie licząc hajduka, w którym panowie popisują się przed paniami – śpiewają, pokazują, jacy są skoczni i silni. Hajduk to już jest coś!

Znowu się chmurzy i zaczyna padać deszcz tak drobny i lekki, jakbyśmy były w tężni. Czuć zapach ziemi i powietrza. Pozostali wolontariusze zniknęli nam z oczu, więc przyspieszamy kroku.

– Od tych starych górali i góralek dowiedziałam się czegoś jeszcze – mówi Julka. – Oni inaczej cieszyli się życiem. Byli bardziej zapracowani, dzieci czasem chodziły brudne i bez butów, ale były szczęśliwe.

– A dzisiaj ludzie nie są szczęśliwi? – pytam.

– Są, ale w inny sposób. Mówi się, że pieniądze szczęścia nie dają. Ale w sumie, teraz bez pieniędzy to tego szczęścia nie masz. Cieszysz się dobrami materialnymi, a kiedyś bardziej cieszono się czymś innym. Oczywiście, pieniądze w chałupie musiały być, ale ludzie żyli bliżej natury. Byli... jak to nazwać... O, już wiem: nie żyli osobno, tylko razem. I czerpali z tego, co mieli, a nie z tego, co chcieliby mieć. Co chcę robić w przyszłości? Iść na medycynę i zostać lekarzem. Ale jakikolwiek zawód bym wybrała, to chciałabym, żeby ta żywiecka tradycja była ze mną. I żeby moje dzieci nie zapomniały o niej i przekazały ją dalej swoim dzieciom. A ja będę im opowiadać, że byłam gdzieś, kiedyś i rozmawiałam z ludźmi, którzy ją jeszcze pamiętali.

Droga zamienia się w wąską, stromą dróżkę. Przedzieramy się przez gęste krzaki i wychodzimy na Halę Baranią. Niebo jest szare, nad porośniętym ostrą trawą zboczem unosi się mgła.

– Ale tu pięknie – mówi Julka.



# Świat, który zniknął pod ziemią

Julia Łapińska

## NGO

Stowarzyszenie Mieszkańców i Miłośników Piły  
nad Brdą „BUKO”



Chronimy i badamy zabytki techniki na obszarach  
wiejskich



Piła





Kluchy śląskie, rolada z wołowiny i modra kapusta. To ze strony pana młodego. Potrawka na bazie rosółu i ryż z agrestem ze strony panny młodej. Czas: lata trzydzieste XX wieku. W miejscowości Piła-Młyn w Borach Tucholskich odbywa się wesele górnicze. Szytgar Eryk Pietrek w galowym mundurze górniczym, guziki błyszczą, jakby je pół dnia polerował. Do zdjęcia pozuje z szablą. Zofia Ciżmowska trzyma go mocno pod ramię. Ubrana w białą skromną sukienkę, elegancki kapelusik i długi welon do kostek. Przy jednym stole siedzą goście ze Śląska, przy drugim – goście z Borów Tucholskich. Ślężacy przyjechali winszować młodym, ale i rzucić okiem na kopalnię. Ciekawi są, jak żyją ludzie na północy. Jeśli któryś z gości weselnych ze Śląska wziął w podróż *Ilustrowany przewodnik po województwie pomorskim* z 1924 roku, mógł przeczytać, że jeden z szybów kopalni „Olga”, o głębokości 35 metrów, jest dostępny do zwiedzania.

Pierwsza podziemna kopalnia powstała tutaj w 1892 roku. Założyli ją dwaj bracia, Dawid i Jakob Bukowcer, nadając jej nazwę „BUKO”, od początkowych liter swojego nazwiska. W ślad za nią powstała „Olga”, „Teresa”, „Aleksandra”, „Zofia” i „Montania”.

Tymczasem słychać dźwięki weselnego akordeonu. Przed tańcami trzeba wykupić pannę młodą. Trwa odliczanie pieniędzy. Za mało! Panu młodemu przyprowadzają na salę najstarszą, przygarbioną babę z kuchni.

Znów odliczanie. Tym razem pieniędzy jest więcej. Przyprowadzają żwawą kobietę w średnim wieku, ale to jeszcze nie panna młoda. I w końcu – wykupiona za odpowiednio dużą sumę – pojawia się Zofia Ciżmowska. Nieśmiało spuszcza oczy, podaje rękę szytgarowi Erykowi do pierwszego tańca.

Sto lat później piętnastoletnia Ania przygląda się odnalezionym w trakcie badań archeologicznych kawałkom potłuczonej miski i łyżce, którą być może tamtego dnia jedzono rosół na weselu szytgara Eryka Pietrka. Ania uśmiecha się delikatnie, zupełnie jak Zofia Ciżmowska na czarno-białym zdjęciu. Dziewczyna ma na sobie czarną koszulkę obozu wolontariackiego *Górnicza Wioska*. Rękawiczkami z grubego materiału, których używają archeolodzy w czasie wykopalisk, delikatnie rozgarnia ziemię.

– Kiedy wzięłam do ręki pomarańczowy od rdzy widelec, poczułam ogromne zaciekawienie życiem ludzi, którzy tu mieszkali. Pomyślałam, że chciałabym przenieść się w czasie i zobaczyć, jak wyglądali. Porozmawiać z nimi – marzy się Łucji.



Następnego dnia trzynastoletnia Alicja w wykopie numer jeden dokumentuje czerwony paciorek od różańca. Bardzo dobrze zachowany. Może to różaniec, na którym wieczorne modlitwy odmawiała Zofia Cizmowska?

– Zawsze się zastanawiałam, jak archeolodzy znajdują te wszystkie przedmioty – mówi Alicja i wkłada koralik do specjalnej plastikowej torebki. Opisany trafi do zabytków wydzielonych.

– To jest ich pierwsze spotkanie z archeologią – tłumaczy Robert Grochowski, który od 2007 roku prowadzi badania archeologiczne zabytkowego zespołu kopalń węgla brunatnego w Pile. – Przed wszystkim wolontariusze zobaczyli, że archeologia to nie *Tomb Raider* albo *Indiana Jones*, ale określona metoda pracy. Nauczyli się wytyczać wykop, obsługiwać niwelator i węgielnicę. Wykonywać rzuty i profile. Opisywać uzyskany materiał.

Szesnastoletniemu Mikołajowi podobała się praca archeologów z wykrywaczem metali. Dowiedział się przy okazji, że samodzielnie nie może używać wykrywacza, bo bez specjalnych uprawnień to przestępstwo. Archeolodzy już pierwszego dnia wykopalisk znaleźli taśmę do niemieckiego karabinu maszynowego. Niemcy się tu bronili. Z okna nieistniejącej już Białej Chaty mieli idealne pole ostrzału na Rosjan przechodzących po zamrożonej Brdzie. Białą Chatę zrekonstruowano na multimedialnej makiecie w Górniczej Wiosce, podobnie

jak inne ślady dawnego świata, odkrywanego teraz na nowo przez archeologów pod warstwami ziemi i dokumentowanego przez wolontariuszy.

## **Podziemne kopalnie tuż pod osiedlem**

– Od kiedy obóz się zaczął, zastanawiam się, jak ci ludzie żyli. Rozmyślałem, co te rzeczy, które oglądaliśmy, o nich mówią – czternastoletni Kuba przyznaje, że i jemu najbardziej podobał się pasek od karabinu.

Według Roberta Grochowskiego tegoroczne wykopaliska to przełom. Tyłu mobiliów, czyli przedmiotów użytkowych, do tej pory nie znaleziono.

– Mamy śmietnisko. I to obiecujące! Archeolodzy zawsze na śmietniku albo w latrynie wykopują najciekawsze artefakty – w głosie Grochowskiego słychać ekscytację. Uczy wolontariuszy, że choć przedmioty są nieme, to w przypadku kopalni węgla brunatnego w Pile wciąż żyją świadkowie, którzy mogą wiele opowiedzieć. Archeolog musi być jak detektyw.

Ceramika i szkło z wykopu są dokładnie myte w misce, aż się woda zabarwia na brązowo. Potem schną na niebieskiej płachcie w sierpniowym słońcu. Część z nich trafi do zabytków wydzielonych, część do masowych. Metali myć nie wolno.

– Proszę pana, a co tu robią muszle? – pyta Zuza.

Archeolog wyjaśnia, że dołem płynie Brda, miejscowi rzecznych ślimaków mieli pod dostatkiem. Żony górników karmiły małżami kaczki.

– Znaleziono tu tyle gwoździ, że może dom zbudujemy – śmieje się Mikołaj, odkładając zardzewiały gwóźdź na stosik podobnych.

– O, to chyba ołówek?! – Julia podaje kawałek czarnego, owalnego drewnianka znalezionego przez archeologów w ziemi. Grochowski pociera tajemniczym przedmiotem o papier w notatniku. Pojawia się szara kreska. Rzeczywiście, ołówek! Trafi do zabytków wydzielonych.

W 2002 roku zapadła się jedna z niezabudowanych działek na osiedlu Leśnym w Pile w gminie Gostycyn. Urząd gminy nie potrafił udzielić informacji na temat zapadliska. Dzięki redaktorowi lokalnej gazety mieszkańcy osiedla dotarli do artykułu z 1896 roku, gdzie wspomniano o podziemnych kopalniach węgla brunatnego. Wyczytali z niego, że pierwsza nazywała się „BUKO”. Napisali do Państwowego Instytutu Geologicznego. Zrobili to jako Stowarzyszenie Mieszkańców i Miłośników Piły nad Brdą „BUKO”. Wkrótce z Warszawy przyszło pismo, że na tym terenie działało sto lat temu sześć takich kopalni. Zrozumie-

li wreszcie, dlaczego starszy pan mieszkający w okolicy powiedział im kiedyś: „Wy się tu pozapadali”. Członkowie „BUKO” zaczęli gromadzić dokumentację z archiwów polskich i niemieckich, pozyskali fundusze na kilka etapów badań archeologicznych. Nagrywali świadków, szukali starszych mieszkańców, którzy mogliby opowiedzieć o kopalniach.

– Do dziś często się zdarza, że jak ktoś przyjeżdża do górniczej wioski w Borach Tucholskich, na początku myśli, że to temat zaimplementowany ze Śląska. Jakże jest zdziwiony, kiedy dowiaduje się, że to nie wydmuszka, a do Borów zjeżdżali kiedyś prawdziwi sztygarzy – tłumaczy Wojciech Weyna ze Stowarzyszenia „BUKO”.

Stowarzyszenie skupia obecnie siedemnastu członków. Ożywili historię w miejscu, w którym cały dawny świat zniknął pod ziemią. Ścieżka dydaktyczna, połączona z grą terenową *Kuferek Wilhelma Krügera*, pokazuje, jak ważna we wskrzeszaniu historii jest siła narracji. W 2014 roku gmina umożliwiła stowarzyszeniu na działce w pobliżu dawnych kopalń wybudowanie garncarni. W nowym budynku, będącym repliką dawnego tartaku, odbywają się zajęcia edukacyjne. Przedmioty opisane przez wolontariuszy staną się ważnym elementem przygotowywanej tam wystawy.

## **Wykopaliska obudziły ludzką pamięć**

Dzisiaj młodzież zajmie się wyrobem gwoździ.

– Młotek musi chodzić z góry. Natnij go, Jasiu, leciutko. Śmiało teraz. Uderz! – instruuje Tadeusz Weyna. Dzisiaj będzie uczył młodzież kowalstwa.

– No, Tymon. Walczymy dalej. Wyciągaj już. On ma dobrą temperaturę do kucia. Widzisz, metal, jak go rozgrzejemy, staje się jak plastelina. Dobij go! Ale jak za bardzo rozplaszczysz, to zamiast gwoździa zrobisz z niego łyżeczkę do jedzenia.

Szesnastoletni Tymon, kiedy już wykona zadanie i zdejmie z oczu specjalne okulary, które chronią od iskier, nie będzie się mógł nadziwić, ile pracy zajęło zrobienie jednego gwoździa.

– Teraz rozumiecie, co znaczy powiedzenie: „kuj żelazo póki gorące” – śmieje się Weyna i dodaje z aprobatą: – A Zuza to chyba kowalem zostanie.

Kilka godzin później zaczynają się warsztaty z garncarstwa, prowadzone przez Joannę Karwasz. Z gliną trzeba działać szybko. Gdy odparuje na powietrzu, traci plastyczność. Joanna tłumaczy, że sama w ramach stowarzyszenia



jeździła na takie warsztaty, a teraz uczy wolontariuszy. Motywy liści, dziurki, fantazyjne odkształcenie boków. Wykonując miskę, każdy eksperymentuje z wyobraźnią. We wsi górniczej mieszkał kiedyś garncarz. Przez chwilę można poczuć się jak on.

– Robienie miseczki z gliny uczy cierpliwości, pozwala się wyciszyć – Julia ozdobiła swoje naczynie eleganckim motylkiem od wewnątrz.

W sklepie, który, jak mówi Agnieszka Weyna, w miejscowości niewielkiej jak Piła pełni funkcję domu kultury, ludzie każdego dnia pytają: „Co się już udało odkopać?”. Ostatnio rozmawiali tylko o nawałnicy, która nawiedziła Bory, a teraz dzięki obozowi wolontariackiemu – znów więcej o Górniczej Wiosce.

– A ja nawet zdjęcia mam z zeszłego roku, jak te wykopaliska robili. A na nich fundament od budynku, który znaleźli pod ziemią – mówi Danuta Kausa. – Kiedyś na moim domu to się kończył świat. Był już tylko las. A teraz jak ktoś z rodziny przyjedzie, to biorę go pod pachę i idziemy oglądać, co nowego w Górniczej Wiosce zrobili. Czasem z okna widzę całe autobusy zwiedzających. W zeszłym roku na obozie wolontariackim trzy studentki z Uniwersytetu Jagiellońskiego mieszkały u mnie. W tym roku też miła młodzież przyjechała. A dzięki stowarzyszeniu kilka pań miejscowych ma zatrudnienie.



Lidia Gumińska, emerytowana księgowa, występuje często na rekonstrukcjach wesela sztygara. Gra rolę matki panny młodej. Robi też warsztaty z filcu. Wspomina czasy, kiedy stowarzyszenie nie miało garncarni i hektara ziemi. Jeździli wtedy do innych wiosek tematycznych, dużo się uczyli. Warsztaty z garncarstwa i filcu organizowali w namiocie na prywatnych działkach lub przy sztolni, kiedy była pogoda. Dzięki temu, że stowarzyszenie zaczęło na siebie zarabiać, może robić więcej dla miejscowej ludności. Jak zeszłoroczne mikołajki w tartaku. Przy rozświetlonej kolorowymi lampkami choince śpiewano kolędy. Każde dziecko dostało indywidualnie dobrany prezent. Dorośli pili grzane wino z goździkami. W tym roku chcą urządzić barbórkę dla mieszkańców Piły.

– Lokalna społeczność zaczyna dostrzegać wartość tego, co było kiedyś. Czuje dumę, że jesteśmy wyjątkowi, bo mamy kopalnię. Wykopaliska obudziły też ludzką pamięć. Historie związane z tymi przedmiotami. Dzięki obozowi wolontariackiemu młodzież zaczyna rozumieć wartość lokalnych zabytków. Może po powrocie do swoich miejscowości inaczej spojrzą na to, co wcześniej wydawało im się zwyczajne? – zastanawia się Wojciech Weyna.

Stowarzyszenie „BUKO” pokazuje, że nie trzeba mieć ogromnej infrastruktury, żeby zainteresować turystę. Historię trzeba przekazywać, umiejętnie o niej opowiadając.



Tak jak w czasie nocnej gry terenowej, w której udział wzięli wolontariusze. Tematem były przygotowania do wesela sztygara. Panna młoda biegała po ciemnym lesie, duch kopalni tańczył wokół ogniska. Trzeba było ułożyć przyśpiewki weselne, odnaleźć ogon diabła, rozwiązać krzyżówki, gdzie potrzebna była znajomość górniczej terminologii.

– Dzień wcześniej mieliśmy całodniową wycieczkę do Torunia i Bydgoszczy. Zwiedzaliśmy Exploseum, skansen architektury przemysłowej III Rzeszy na obszarze DAG Fabrik Bromberg. Nie miałam pojęcia, że taka fabryka istniała – mówi piętnastoletnia Iza.

Przy wykopie archeologicznym słycać meczenie kóz.

– W życiu nie widziałam kozy, a tu je przywiązywałam na długim sznurku do drzewa – tłumaczy szesnastoletnia Marta. – Wyprowadzanie kóz na łąkę to przygoda. Jak ta czarna Irena stanie, to ta biała Danuta też. Uparte są, ale będę za nimi tęsknić!

Mieszkańców Borów Tucholskich nazywano koziarzami. Na nieurodzajnych glebach najłatwiej paść kozy. W powietrzu w okolicach tartaku roznosi się zapach pieczonych wafli. Stary przepis, duma górniczej wioski. Archeologia smaków.

– Wafle to smak naszej młodości. Ta wafelnica ma sto lat. Receptura stanowi słodką tajemnicę dla wybranych. Mogę tylko zdradzić, że do węgla dorzucam



0065 Medica  
Gornicza 2014

0065 Medica  
Gornicza 2014



parę szyszek – uśmiecha się Tadeusz Weyna. Wolontariusze dostaną na podwieczorek wafle posypane cukrem pudrem.

Robert Grochowski jest dumny, że młodzież z takim oddaniem wskrzesza historię. Wierzy, że pobyt w Górniczej Wiosce zostawi w nich ślad. Chyba zrozumieli, że statyczne muzea z gablotami nikogo już nie interesują. Trzeba szukać różnych sposobów opowiadania o historii. Takie doświadczenie może stanowić pierwszy impuls, by w przyszłości ktoś z nich stał się lokalnym liderem. W tym roku zdobyli ogromny zasób danych. Wykopano niemal kompletny zestaw stołowej zastawy.

– Jeszcze kapsuła czasu! – Grochowski podaje Kubie pustą szklaną butelkę z zakrętką i białą kartkę. Chłopak stawia zamaszysty podpis niebieskim długopisem. Za chwilę kartka z imionami wszystkich znajdzie się w środku. Butelka zostanie zasypana przez archeologów.

– Może odkopią ją ci, którzy będą tu po nas? – zastanawia się Kuba.





# Piętno wolontariatu

Agata Listoś

**NGO**

Fundacja „Oikonomos”

”

Lato z wielokulturowym dziedzictwem



Supraśl, Wasilków, Białystok



## **Ikona – duchowe okno na świat**

Czternaście par oczu wpatruje się w półpostać Chrystusa Pantokratora. Spojrzenia wwiercają się w dziewiętnastowieczną ikonę, jakby chciały prześwietlić wszystkie warstwy kleju kostnego nałożone na deskę z higroskopijnego drewna obłożonego *pawałoką* – kawałkiem zdekatyzowanego płótna. Na niej kilka kolejnych warstw kleju, który nanosi się aż do momentu, gdy po wyschnięciu deska skrzy się jak śnieg w mroźny słoneczny dzień. Potem kładzie się warstwy gruntu, początkowo o konsystencji rzadkiej śmietany. Grunt to kreda alabastrowa rozprowadzona w rozpuszczonym kleju kostnym, czasem z dodatkiem miodu lub oliwy, które lekko natłuszczają i uelastyczniają powierzchnię. Kolejne warstwy wystygłego gruntu najlepiej nakładać dłonią, która lekko rozgrzewa galaretową już masę. Kiedy będzie ich już tyle, że zniknie pod nimi struktura płótna, zaczyna się najbardziej uciążliwa część pracy nad ikonową deską – polerowanie wyschniętego gruntu. Na wygładzoną deskę można już przenieść rysunek z podlinnika i przystąpić do pisania ikony pigmentami spojonymi na przykład żółtkiem jajka z białym winem. Na koniec oliwienie, czyli wylewanie tłustego werniksu na malaturę. Oliwę można mieszać dłonią, tak by malatura nasączyła się równomiernie, a barwy wysyciły. Nadmiar zastygającej oliwy zdejmuje się papierem. Przeciągając palcami po zawerniksowanej ikonie, pod palcami słychać charakterystyczny „świs”.

– Przyjrzyjcie się ikonom. Chciałabym, żeby każdy z was zadał jedno pytanie w kontekście wybranego obiektu – prosi uczestników Ewa Zalewska, która chce wycwiczyć w wolontariuszach otwartość i spostrzegawczość, i szeptem dodaje: – Ikony opisuje się, zaczynając od zwykłego objaśnienia tego, co widzimy. Dopiero później jest analiza ikonograficzna, technologiczna, ewentualnie przypisanie wieku. Chodzi o to, żeby spojrzeć na dzieło sztuki w sposób czysty, bez żadnych uprzedzeń.

Wolontariusze przechodzą przez przyciemnione sale Muzeum Ikon w Supraślu, wypełnione ikonami, przedmiotami sakralnymi i freskami, od których odbija się śpiew liturgiczny. Prowadzące warsztaty specjalistki od katalogowania zabytków – Ewa Zalewska i Aneta Jurgilewicz-Stępień – co chwila zapalają światło, bo grupa spędza na wystawie więcej czasu niż przewidziane kilka minut. Na jednym wydechu potrafią przeczytać całą ikonę. Bo ikon się nie maluje, tylko pisze. A potem nie ogląda, tylko czyta, ponieważ ikona komunikuje się z odbiorcą przez swoją symbolikę.



– Chodzi o to, żeby nie widzieli tylko wizerunku Chrystusa, ale cały przekaz, jaki za tym idzie w zależności od sposobu przedstawienia, oraz całej symboliki. Jeżeli już podejmują się spotkania z dziedzictwem, to dobrze, żeby mieli świadomość, do czego podchodzą, dlaczego warto o to dziedzictwo dbać. Wtedy zaczynają inaczej patrzeć. To zaraża i w pewien sposób kształtuje postawy tych młodych ludzi. Oni później już nie są tacy sami. Te warsztaty są pewnego rodzaju „piętnem”, oczywiście w pozytywnym rozumieniu tego słowa, które nie pozwala obojętnie przejść obok ikony czy innego dzieła będącego świadectwem tradycji i historii – wyjaśnia Aneta Jurgilewicz-Stępień.

Emilka skrupulatnie notuje wszystkie informacje. Chce się dowiedzieć czegoś o prawosławiu, bo na historii sztuki we Wrocławiu, gdzie napisała licencjat o protestanckim epitafium renesansowym, mówiło się o prawosławiu tylko w kontekście Bizancjum.

– Przez ostatni rok interesowałam się podejściem reformacji do obrazu i wyznań do sztuki, a ponieważ w prawosławiu też mamy kult obrazu, chciałabym się w to bardziej zagłębić. Jestem ciekawa, czy na Podlasiu także występuje konfesjonalizacja, czy w sztuce cerkiewnej również manifestuje się przynależność do religii prawosławnej i czy znajdę elementy polemiki międzywyznaniowej. W cerkwi w Wasilkowie już miałam okazję zobaczyć przykłady dziewiętnasto-

wiecznych ikon, czerpiących motywy kompozycyjne z dzieł włoskiego renesansu – tłumaczy.

Na obóz przyjechała prosto z Kazimierza Dolnego, gdzie jako wolontariuszka uczestniczyła w festiwalu kultury żydowskiej *Pardes*. Na stałe jest wolontariuszką Muzeum Narodowego we Wrocławiu, gdzie oprowadza po niektórych wystawach tematycznych, jak choćby tej ostatniej z okazji rocznicy śmierci Stanisława Wyspiańskiego. Pomagała też na festiwalach filmowych w Cieszynie i Zwierzyńcu oraz na wrocławskim festiwalu dokumentów.

– Robię to, bo to jest fajna okazja, żeby nawiązać wartościowe znajomości z ludźmi, których coś interesuje, którzy chcą czegoś więcej od życia. Oczywiście też z powodów ekonomicznych, bo normalnie nie byłoby mnie stać na to, żeby wziąć udział w tych festiwalach. A tak mam zagwarantowany dostęp za cenę mojego czasu, który jestem skłonna poświęcić, mimo że sprzątanie sali, rozsadzanie ludzi czy roznoszenie ulotek, których nikt nie czyta, bywa męczące – dodaje.

Wolontariat był dla niej też sposobem na znalezienie pracy, gdy zatrudniono ją przy obsłudze widowni nowo otwartego Narodowego Forum Muzyki.

## Uroczysko

W drodze do Piatienki ksiądz Jarosław Józwik w trzęsącym się na wybojach aucie opowiada o Akademii Supraskiej, która próbuje zainteresować kulturą, tradycją i duchowością prawosławia szerokie grono odbiorców.

– Próbujemy zaangażować też laikat w sprawy cerkwi prawosławnej, prowadzimy warsztaty dla dzieci i młodzieży, organizujemy międzynarodowe konferencje, których tematem przewodnim jest między innymi Supraśl, niegdyś awangarda życia kultury prawosławnej na ścianie wschodniej. To tutaj łączy się kultura prawosławnego Wschodu i rzymskokatolickiego Zachodu. Kiedy pytają mnie o to, czym różni się katolicyzm od prawosławia, odpowiadam: „Dlaczego chcecie słuchać o różnicach? Zacznijmy od tego, co nas łączy”. Albo gdy pytam, skąd wzięli się prawosławni na tych terenach, niektórzy odpowiadają, że to pozostałość po zaborach rosyjskich. Wtedy mówię, że monaster w Supraślu powstał w 1498 roku, to po którym zaborze? – dopytuję. Za kilka dni zaczyna się u nas konferencja *Cerkiew a asymilacja – swój i obcy*. To pytanie, które stawia się od zawsze: czy prawosławni są swoi, czy obcy. Dla nas odpowiedź jest prosta. Jesteśmy stąd. Ale chcemy do tego podejść bardziej naukowo – kończy

ojciec Jarosław, wysiadając z auta przed murem cmentarza, na który wspinał się w dzieciństwie podczas świątecznych odpustów.

Drewnianą cerkiew cmentarną otwiera ojciec Aleksander Aleksiejuk.

– Były myśli, żeby to wcześniej spisać, ale nie mamy ludzi, którzy by się tym zajęli, bo wiejskie parafie na Podlasiu są bardzo wyludnione. Brakuje nam zwłaszcza młodzieży. A praca wolontariuszy pozostanie w parafii jako dokument z profesjonalnymi zdjęciami i opisami. Na wypadek kradzieży będziemy mogli łatwiej odtworzyć nasz inwentarz. Co prawda teraz nie zdarzają się one tak często jak w latach sześćdziesiątych, kiedy znikwały nam stare, cenne ikony – mówi ojciec Aleksiejuk.

Naprzeciw wejścia na cmentarz przy samym lesie stoi kaplica Świętej Paraskiewy na Krynoczce. Pan Leon forsuje ogrodzenie, odgarnia trawy i pajęczyny, żeby zajrzeć przez okno do wnętrza niewielkiej kaplicy, której centralne miejsce zajmuje studnia ze świętym źródłem, od którego zaczyna się historia tego miejsca. W XVIII wieku na tych terenach, nawiedzonych przez fale morowego powietrza, ukazała się kobieta z dzieciątkiem na ręku prosząca grupkę dzieci pasących bydło na skraju lasu o wybudowanie niewielkiej kapliczki. Wkrótce obok niej trysnęło źródło z uzdrawiającą wodą. Wdzięczni mieszkańcy postawili cerkiew na wzniesieniu i otoczyli ją nagrobkami. Pan Leon przyjeżdża tu dwa razy w miesiącu, aby sprzątać groby teściów.

– Żona jest prawosławna, ja jestem katolikiem. Na Podlasiu dużo mamy mieszanych małżeństw. Najczęściej ślub biorą w cerkwi, to taki ukłon w stronę prawosławnych rodziców, a potem normalnie chrzczą dzieci w Kościele katolickim. My z żoną jak zaczynamy Boże Narodzenie w grudniu, to świętujemy aż do stycznia – śmieje się. – To miło zobaczyć tyle młodzieży w tym miejscu. Teraz młodych w cerkwi prawie nie widać, okolica się wyludnia, wyjeżdżają w Polskę, gdzieś za granicę. Kawał dobrej roboty zrobią ci wolontariusze, bo może te zaniedbane groby odnajdą potem w spisach jacyś bliscy – dodaje, pakując grabie do auta.

Nastaje cisza. Codziennie rano, zanim grupa rozpocznie zajęcia, grube poklasztorne mury Akademii Supraskiej wypełnia cisza i zapach drewna zmieszany z wilgocią. Co rusz przerywa ją brzęczenie os, które próbują dostać się do słodczy pozostawionych przez wolontariuszy w kilkuosobowych pokojach Domu Pielgrzyma. Cisza towarzyszy im też w cerkwi, kiedy siedząc na zawilgotniałym dywanie, wypełniają pieczęłowicie karty ewidencyjne ruchomych zabyt-



ków opisami świętych obrazków zdjętych z błękitnej ściany drewnianej świątyni. Zostają po nich jaśniejsze ślady i resztki pajęczyn, które wolontariusze zdejmują z ikon, przecierają dłońmi zakurzone ramki i paznokciami zdrapują zaśniedziałe szybki obrazów. Ostrożnie dotykają też kamiennych nagrobków z zielonym porostem, aby odczytać napisy. Przyglądają się żeliwnym krzyżom, obchodzą je dookoła w poszukiwaniu charakterystycznych detali sprzed 1915 roku.

– Dodajcie trzy lata do daty śmierci, bo mniej więcej tyle doliczamy na czas powstania nagrobka – instruuje resztę grupy Weronika. Ma za sobą kilka wyjazdów inwentaryzacyjnych cmentarzy podolskich, organizowanych przez wykładowców Ochrony Dóbr Kultury i Środowiska na UKSW, gdzie studiuje na czwartym roku. – Do szesnastej jesteśmy na cmentarzach, a potem inwentaryzujemy okoliczne knajpki – puszcza oko. Nie byłoby jej tutaj, gdyby dostała się na weterynarię. Ciekawiła ją historia, koleżanka szła na ODKiŚ, były wyjazdy do dworków. Zapisala się. Miłość do architektury i zabytków rozbudziły w niej wykłady u doktor Marty Wiraszki. Teraz inaczej patrzy na budynki – widzi ścianę, lico, gzyms, opaskę okienną. W nagrobkach dostrzega cokół, uskok, ażurowe zdobienia żeliwnych krzyży z roślinnymi ornamentami. Opuszkami palców uparcie próbuje odczytać starocerkiewne inskrypcje na nagrobnych kamieniach zmyte już wpływającym czasem.

## Wasilków

Chłopcy wyciągają z pokrowców lampy, rozstawiają statywy, ostrzą aparaty. Wczoraj wszyscy uczyli się zasad kadrowania i ustawiania parametrów w trybie manualnym, po to żeby każde zdjęcie wyszło tak samo. Warsztaty fotograficzne prowadził Łukasz Troc, z wykształcenia magister teologii prawosławnej, z zawodu bibliotekarz, z zamiłowania typograf i fotograf, który często jest zapraszany na świąteczne uroczystości w cerkwiach, skąd przygotowuje fotoreportaże. Będzie im pomagał również w pracy w cerkwiach i później przy obrabianiu zdjęć.

– Podziwiam ich, bo robią trudną i żmudną robotę. Najpierw spędzili długie godziny, żeby nauczyć się opisywania ikon, poznać trudną terminologię, a potem kolejne kilka dni opisują technicznie inwentarze cerkwi. I wcale nie widać po nich znużenia tą pracą – wyjaśnia.

Niektórzy, jak Łukasz, przed pracą podchodzą do głównej ikony, by pocałować stopy Zbawiciela. Ulubiona ikona Łukasza to ta, która wisi w sypialni rodziców – Objawienie Matki Bożej, napisana przez jego mamę, która wyklada



w Bielsku Podlaskim w szkole ikonograficznej. Łukasz na razie uczy się w technikum mechanicznym. Na ikony spogląda głównie zza obiektywu.

– Człowiek bardziej zagłębia się w to, co go otacza – opowiada, jak ikona zmienia jego spojrzenie na świat.

Kolejny Łukasz, magister informatyki, również jest prawosławny. Lubi wolontariat, zwłaszcza jeśli może przysłużyć się tym przyszłym pokoleniom. Inwentaryzuje cerkwie już drugi rok. W ubiegłym podczas pierwszej edycji obozu młodzieżowego dla wolontariuszy *Lato z wielokulturowym dziedzictwem*, który zorganizowała Fundacja „Oikonomos” dzięki finansowemu wsparciu przez Narodowy Instytut Dziedzictwa i województwo podlaskie, powstały foldery zawierające szczegółowy opis inwentarza siedmiu cerkwi. Wydano je zaledwie w trzydziestu egzemplarzach, aby nie trafiły w niepowołane ręce potencjalnych przemysłowców ikon.

– Spisanie tego wszystkiego zostawi ślad po tym, co było. To też taka trochę baza danych. Lata mijają, wszystko się zmienia. A w ten sposób coś po nas pozostaje – konstatuje Łukasz i wspomina satysfakcję, którą odczuł, gdy na stronie redakcyjnej folderów odnalazł swoje nazwisko.

Do fotografowania dołącza siedemnastoletnia Marta, która w tym roku postanowiła więcej zajmować się zdjęciami niż opisywaniem. Na co dzień uczy się w liceum w klasie biologiczno-chemicznej. Udziela się w Eleosie, gdzie pomaga w odrabianiu lekcji dzieciom z placówek pomocy dziennej, zbiórkach dla Banku Żywności. Łukasz ma w plecaku książkę jej taty o ikonografii Matki Bożej w prawosławiu.

Szymon sięga po wysoko zawieszony ikonę. Dojeżdża do grupy, kiedy może oderwać się od codziennych obowiązków.

– Baciuszka mi kazał przyjść – uśmiecha się Szymon, który co niedziela zamienia się w przysłużnika w cerkwi, gdzie trzyma zapaloną świecę. I dodaje: – Wolę służyć do mszy, bo nie mogę ustać w miejscu. Szybko urosłem i przez to plecy mnie boją. W ruchu jest mi łatwiej. Uczy się w technikum gastronomicznym w Białymstoku. Chce jeszcze pójść na piekarza, ale nie wiadomo, czy kierunek ruszy. Póki co namawia co rusz babcię na wspólne wypiekanie chleba na zakwasie w jej piecu kaflowym.

Dziewczyny rozchodzą się po cerkwi, rozglądając się za obrazami do opisanego. Patrzą na lica ikony, zaglądają na odwrocia, tropiąc znaki szczególne, bo wiele obiektów jest do siebie podobnych.



Kasia przyjechała z Warszawy razem z trzema innymi dziewczynami – Martyną, Weroniką i Moniką, udzielającymi się w Kole Naukowym Ochrony Dóbr Kultury i Środowiska „Hereditas” UKSW, które zajmuje się popularyzowaniem wiedzy o ochronie dóbr kultury i środowiska, jak choćby podczas niedawnej ogólnopolskiej konferencji studencko-doktoranckiej *Czy polskie zabytki muszą umierać?*

– Na studiach mieliśmy dokumentację, ale co innego przeczytać suche fakty, a co innego dotknąć tego na miejscu – mówi dwudziestoczteroletnia Kasia.

W opisywaniu pomaga jej Justyna z Moskwy, gdzie studiuje filologię rosyjską.

– U nas w Jekaterynburgu, skąd pochodzę, wiele cerkwi zostało zniszczonych. Teraz je odbudowują i moja wiedza przyda się tam na miejscu – zdradza swoje motywacje Justyna, na co dzień cicha i spokojna, która odzyskuje wigor podczas gry w kręgle, kiedy nokautuje resztę grupy na punkty.

Wolontariusze w przerwach między inwentaryzacją jeżdżą rowerami po puszczy, pływają kajakami, zwiedzają monaster w Supraślu, Muzeum Drukarstwa, oglądają architekturę Białegostoku, rozpalają ognisko, uczestniczą w SlowFest.

–Pisz: gulgota, sztuka cerkiewna, lewa ręka Maryi spoczywa na piersi, prawa zwraca się ku Chrystusowi, Maryja ubrana w ciemnoczerwoną tunikę i niebieski maforion. Po lewej postać Świętego Jana Ewangelisty ukazano całopostacio-

wo – dyktuje Martyna. Obchodzi krzyż dookoła. – Nie widzę też żadnych śladów po żerowaniu drewnojadów aktywnych – raportuje zza drewnianej gogoty. Na obozie jest już drugi raz. – Inwentaryzacja jest bardzo potrzebna na kierunku ochrony dóbr kultury i środowiska, na którym studiuje. Brakowało mi tej praktycznej wiedzy, bo na studiach mało mieliśmy zajęć terenowych, a jeśli już, to głównie na terenie Warszawy.

Weteranką jest również Wiola, która w ubiegłym roku zaczęła logopedię.

– Dzięki mojej pracy ludzie, którzy mają wady wymowy, odzyskują trochę poczucie własnej wartości. Zawodowo te warsztaty nie przydadzą mi się w żaden sposób. Nie siedzę w sztuce. Malarstwo pojmuję w kategoriach „ładne”, „brzydkie”. Ale teraz, gdy patrzę na ikonę w cerkwi, to umiem dostrzec szczegóły, odnaleźć rzadkie motywy. Zdobyłam też trochę wiedzy ogólnoludzkiej, dotyczącej pracy w grupie, rozumienia potrzeb innych ludzi – wyjaśnia Wiola. Po ubiegłorocznych warsztatach zaangażowała się w kolejny wolontariat. Raz w tygodniu pomagała ośmiolatce w matematyce w ramach Akademii Przyszłości.

Późnym wieczorem bus z Wasilkowa podjeżdża pod Akademię Supraską. Zmęczeni wolontariusze wysypują się w ciemność. Zgasła ulica Klasztorna, Chodakowskiego i okoliczne bulwary nad Supraślą. Z poddasza Akademii wydostaje się strumień jasnego światła wycelowany w czarne niebo. „Światło zamknięte w obrazach odgrywa taką samą rolę w naszej świadomości, jaką kiedyś pełniła malowana ikona: jest niczym modlitwa” – słowa Leona Tarasewicza wydrukowane są przed wejściem do Sali im. Wołkowa, gdzie białe ściany podtrzymują kolorowe panele świetlne. Książd Józwick zaprasza, bo w sali jest sam autor wystawy. Atmosfera staje się niezręczna, kiedy Tarasewicz ucieka od odpowiedzi na prośby o interpretację swoich prac, które są jeszcze zbyt bliskie i osobiste i potrzebny jest dystans czasowy.

– Tu nic nie jest przypadkowe – ratuje sytuację książd Józwick, wyjaśniając symbolikę kształtów i barw ikonograficznych. Oprowadza młodzież po wystawie, wskazuje na prostopadłościanny z pleksi, wyjaśnia, gdzie widzi żywoty świętych, gdzie męczenników sebastyjskich, gdzie ikonę Deesis. Nazajutrz wystawę ma odwiedzić Anda Rottenberg, która trzy lata wcześniej pisała o pracach Tarasewicza: „Studia malarskie mają go nauczyć posługiwania się narzędziem; świadomość własnej tożsamości ma go doprowadzić do umiejętności portretowania świata w taki sposób, by obraz, mieszcząc się w obowiązującym paradygmacie sztuki współczesnej, nie przestał być ikoną”.

– Ja tu nie widzę ikony – powątpiewa dwudziestojednoletnia Kasia, wybrana w tym roku na koordynatorkę *Akcji Historia* propagującej przełomowe wydarzenia wśród młodzieży. Z braku czasu zrezygnowała z przewodniczenia Radzie Młodzieży w Młodzieżowym Domu Kultury w Białymstoku, który organizował między innymi zajęcia plastyczne, wokalne, taneczne dla dzieci od czterech lat aż po młodzież, pomoc w zbiorcech WOŚP. Kasia, która odzyskała swoją tożsamość dopiero na studiach kulturoznawczych, podczas objazdów podlaskich zabytków, twierdzi:

– Wydaje mi się, że dużo młodych osób z Podlasia, zwłaszcza z większych miast, nie ma takiej tożsamości, nie czuje, że jest stąd. Ja poczułam taką zmianę dopiero w monasterze w Supraślu. Uświadomiłam sobie, że naprawdę mamy się czym pochwalić.

O warsztatach Kasia dowiedziała się od Kamila. Wspólnie chodzili na zajęcia z kroju i szycia, które dziewczyna zaniedbała z powodu natłoku innych obowiązków. Siedemnastoletni Kamil uczy się nadal, bo swoją przyszłość wiąże z szyciem. Niedawno wygrał ogólnopolski konkurs na projekt sukni wieczorowej, gdzie przebrany za Karla Lagerfelda prezentował na modelce klasyczną formę sukni z granatowego aksamitu z nowoczesnymi akcentami. Już pracuje nad własną kolekcją, która będzie wyrażać jego osobowość, a w wolnych chwilach angażuje się w różne formy wolontariatu.

– Lubię działalność społeczną. Nie czuję, że zmarnowałam na przykład dwie godziny na zbiorce żywności. Pewnie roztrwonilibym ten czas w domu na nieistotne zajęcia. Poza tym wierzę, że ta pomoc kiedyś wróci – mówi Kamil, poprawiając od czasu do czasu długą blond grzywkę.

## **Znikające zabytki**

Wolontariusze zatopieni w skórzane brązowe kanapy biura Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Białymstoku słuchają o problemach związanych z utrzymaniem podlaskich zabytków.

– Nie jesteśmy bogaci w zabytki – wyjaśnia Andrzej Nowakowski, tłumacząc historyczne zawiloci tych terenów. W rejestrze zabytków województwa podlaskiego jest zaledwie 2600 obiektów. Dla porównania dolnośląskie, czterokrotnie mniejsze, ma ich aż 16 tysięcy. Podlasie zawsze było linią frontu, miejscem rozgrywania konfliktów, gdzie w pierwszej kolejności niszczy się wieże i wysokie budynki, które mogą stać się punktem obserwacyjnym.

– Zabytki znikają niestety nadal, często przez zaniedbania właścicieli i ich niewiedzę o tym, co stało się podstawą wpisania do rejestru zabytków – dodaje



Iwona Górską z oddziału NID w Białymstoku. Gdy zdradza kulisy swojej pracy podczas przygotowywania dokumentacji zabytków i „przewąchowania kątów” opisywanych obiektów, wolontariusze się ożywiają.

– Kto składa wnioski do rejestru zabytków, czy ja jako osoba prywatna mogę to zrobić? – pyta Monika, która chciałaby się zaopiekować pozostałościami osadnictwa Olędrow w okolicach Płocka. – Moglibyśmy zebrać grupę ludzi i zwrócić się do Muzeum Mazowieckiego w Płocku, żeby oczyścić ewangelickie cmentarze. Teraz rośnie tam las, bez maczety nie da się przedrzeć. Potem moglibyśmy zrobić inwentaryzację.

Sztuką sepulkralną interesuje się od dawna.

– Już w gimnazjum się ze mnie śmiali, że lubię sobie położyć po cmentarzach. A przecież fajnie jest podejść do nagrobka, zobaczyć, jaką ma formę, jaki detal, zastanowić się nad grobem siedemnastolatki: kim była, jak umarła, kto o niej pamięta – mówi Monika.

O wielokulturowości dowiadywała się, eksplorując rodzinny Płock na własną rękę, bo ani rodzice, ani szkoła specjalnie jej do tego nie zachęcali. Ogląda architekturę, cmentarze, czasem podsłuchuje mieszkańców, jak wtedy, gdy odjechał jej autobus, bo chciała poznać zakończenie opowieści dwóch starszych mieszkańców o kupowaniu cynamonu u Żyda na nieistniejącej już ulicy.





– W Płocku mamy synagogę, ale społeczności żydowskiej już prawie nie ma, są prawosławni, na cmentarzu ewangelickim widzę wciąż nowe nagrobki, sama wychowałam się w katolickim domu. Ta wielokulturowość jest dla mnie ciekawym zjawiskiem. Ludzie mimo różnic i niesnasek potrafili żyć obok siebie – zauważa. Po wizycie w Oddziale Terenowym NID w Białymstoku postanowiła, że po powrocie w końcu pójdzie do muzeum w sprawie Olędrow.

– Te namacalne efekty pracy wolontariuszy nie są tak duże jak te niematerialne korzyści, które w przyszłości okażą się nie do przecenienia. To są młodzi ludzie stojący przed wyborem życiowej drogi. Niekoniecznie muszą pracować w dziedzinie związanej z ochroną czy konserwacją zabytków, ale w ten sposób poszerzają swoje horyzonty, wiedzę o dziedzictwie, o swoich korzeniach, najbliższej okolicy. Kod cywilizacyjny jest nam niezbędny do rozwoju. Jeżeli nie daje tego szkoła, rodzice, a ktoś to robi z własnego przekonania, to tym większe ma to znaczenie – twierdzi Iwona Górska z NID.

– Wiek naszych wolontariuszy (od siedemnastu do dwudziestu czterech lat) to czas, kiedy człowiek zaczyna się zastanawiać, skąd pochodzi, jak żyli przodkowie. Ma czas pochylić się nad dziedzictwem, zanim założy rodzinę, zacznie budować dom. W tym czasie nie tylko rozrywka jest ważna, lecz także relacje z drugim człowiekiem, dorastanie do swojej tożsamości. Może dzięki naszym działaniom pomagamy ludziom wybrać właściwą drogę – dodaje organizatorka obozu, prezes Fundacji „Oikonomos”, Magdalena Żdanuk.





# Wilczy Zakątek

Andrzej Muszyński

## NGO

Stowarzyszenie na rzecz Ochrony Dziedzictwa  
„Młyn-Papiernia”



Kultura drewna – zachowanie ryglowego  
dziedzictwa



Barlinek, Niepołtcko



Zimą 1733 roku w Barlinku pojawił się obcy. Nikt nie znał jego nazwiska. Włączył się w miejscu, gdzie Młynówka wpada do rzeki Płoni. To musiało budzić niepokój. Miejscowi nazywali to uroczysko Wolfswinkel, Wilczy Zakątek. Niby prowadziła tam kręta, stara droga, ale prawie nikt tam nie chodził – gdzieś tam zaczynała się obca ziemia, pogranicze, a dalej wieś Żydowo. Przybysz wybrał zapewne celowo tę porę roku – w lesie pozbawionym liści było więcej widać, można było spacerować po zamrzniętej rzece. Wyjechał, nie zdradzając nikomu na miejscu swoich ambitnych planów.

Przybysz, Elias Meisner, przedsiębiorca z Berlina, nie miał wątpliwości: to miejsce posiada znakomite warunki, by służyć człowiekowi. Wiedział, na co rośnie popyt – wydaje się coraz więcej książek, periodyków, świat wkracza powoli w nową epokę, w której ponad wszystko ceni się wiedzę.

Meisner pochodził z rodziny niemieckich papierników. To on okiełznał Wilczy Zakątek i strach przed tym miejscem. Ruszyły pierwsze maszyny, zaskrzypiało młyńskie koło, przy którym wychował się jego syn, Ernst. Junior postanowił zmodernizować obiekt na sposób holenderski, a więc nowoczesny, i zainwestował w niego szaloną wówczas sumę pięciuset talarów. Importowane z Niderlandów kotły do wyrabiania masy papierniczej pozwoliły zwiększyć obroty, zamówienia rosły. Mijały kolejne dekady i wszystko podpowiadało, że młyn w Barlinku wyposażony w nowe maszyny parowe jest sercem, które pompuje energię w życie okolicy.

Młyny uratowały niejednen świat przed zagładą. Bywały ważniejsze niż kościoły. Jak latarnie pozwalały odnaleźć się wędrowcom we mgle. Dawały nadzieję na ciepło, nocleg, na chleb. Łupieżcy chętniej grabili kościoły. Z młynarzem lepiej było nie zadzierać. Mieszkali zwykle na takich odludziach, jak Wilczy Zakątek, a skoro im się powodziło, to pewnie musieli dogadywać się z diabłem. Młyn w Barlinku też omijały wojenne zawieruchy. Nikt nie przypuszczał, skąd przyjdzie zagrożenie.

Gdy w 1825 roku pociąg po raz pierwszy przewiózł ludzi z Stockton do Darlington w Anglii, nie zdawano sobie sprawy, że powstające linie kolejowe rozwiną się w cywilizacyjny krwiobieg, faworyzujący miejsca leżące w jego pobliżu. W 1845 roku kolej łączyła już Berlin ze Szczecinem. Gdy kolejni właściciele młyna pojęli, że przegrywają konkurencję z nowoczesnymi papierniami położonymi bliżej trakcji, było za późno. Papiernia ogłosiła upadłość w 1868 roku. Wtedy w Barlinku po raz kolejny pojawił się człowiek, który zwracał uwagę



na ulicach swoim obcym mundurem. Skierował się do magistratu i przedstawił się jako Franz Duras, emerytowany rotmistrz armii austriackiej.

Duras nie pozwolił, aby Wilczy Zakątek obrócił młyn w ruinę. Młyn mielił zboże na mąkę aż do końca II wojny światowej. Znowu posilał żołnierzy, dawał kwaterunek. Ale ostatni front był jak ostatni zryw w walce, gdy u kresu sił człowiek potrafi w niszczycielskim szale zmobilizować się do największych okrucieństw. Zbesztać wszystkie świętości: skalać miejsce, z którego czerpie się mąkę na chleb. Młyn w Barlinku, rozszabrowany, zostałby wchłonięty przez Wilczy Zakątek. Uczeni twierdzą, że jakiegokolwiek porzucone paromilionowe miasto przyroda pochłonęłaby całkowicie w parędziesiąt lat. A jeden budynek? Do Barlinka zbliżali się spragnieni widoku Berlina czerwonoarmiści. Chcieli go spalić. Spotkali w nim polskiego robotnika, który przebywał tam na robotach przymusowych. To ten człowiek przekonał Sowietów, by ten budynek oszczędzili. Tym robotnikiem był Stefan Czapiewski i został on pierwszym polskim młynarzem w Barlinku. Młyn pracował pełną parą. Stał się domem dla kilku rodzin pracowników. Najdłużej po wojnie pracował w nim Włodzimierz Hawryluk. Mały zakład znowu nie wytrzymał konkurencji, tym razem w gospodarce centralnie planowanej, stawiającej na inwestycje w wielkie zakłady. W 1972 roku młyn zamknięto, ale w części pomieszczeń zostały ostatnie rodziny w mieszkaniach socjalnych. Pan Hawryluk przeganiał złodziei, ale Wilczy Zakątek w końcu odbierał swoje. Powoli kruszył belki, nadwierał stropy, osłabiał mury. Minęło dziesięć lat. Wtedy pojawili się oni.

## Młynarze

Rzeka Płonia szumi głośniejsze niż las. Gdy stanie się w środku młyna przy oknie, wydaje się, że coś nadjeżdża. Ale wewnątrz budynku jest już cicho. Ściany są grube. Drewno to świetny izolator. Nie tylko od dźwięków. Gdy latem na zewnątrz panuje upał nie do zniesienia, wewnątrz drewnianego budynku jest chłodniej niż w niejednej piwnicy. Zimą długo trzyma ciepło.

Podłoga skrzypi. Można się zgubić. Schylam głowę w niskich drzwiach, wchodzę do dużej sali. Na stole stoi trochę naczyń, cukiernica. Na uwieszonych na środku sznurkach wiszą prostokątne przedmioty o chropawej fakturze. To już dobrze wysuszony papier. Schodzę na dół. Mijam windę, silosy. Widzę młyńskie koło. Na środku waga, na niej nazwa marki: Chronos. Przedwojenna. Na ścianach piętro wyżej duże fotografie dokumentują wyczyn, jakim było uratowa-





nie młyna przed ruiną. Schodzę po schodach na podwórze. Dopiero tam pod drewnianą wiatą tłoczą się młodzi ludzie, prawie same dziewczyny z siekierami, młotkami i dłutami, w roboczych ubraniach. Są skupione na pracy i sprawiają wrażenie, jakby operowały narzędziami dłużej niż tydzień, który spędziły na warsztatach *Kultura drewna* organizowanych tu dzięki wsparciu Narodowego Instytutu Dziedzictwa

– Najtrudniejsze są pierwsze godziny, gdy uczysz się narzędzi. Na studiach uczymy się o drewnie w zasadzie tylko na materiałoznawstwie, tylko w teorii – mówi Alicja Głowacka, studentka architektury z Politechniki Warszawskiej, która przyjeżdża do młyna od lat. Przyciąga ją tu aura młyna i kolejne warsztaty, podczas których chętni, ucząc się prac ciesielskich, przyczyniają się do dalszej renowacji budynku. Alicja przerywa pracę, siada na huśtawce i tłumaczy: – Jako architekt chcę wiedzieć, czego oczekuje ode mnie klient. To dają mi te spotkania. Gdyby ktoś pokazał mi to na zajęciach, po godzinie o wszystkim bym zapomniała.

– Dzięki *Kulturze drewna* wstawiliśmy do młyna nowe drzwi i okna – cieszy się Krzysztof Tymbarski, architekt, który prowadzi na warsztatach szkolenia praktyczne. Robót fizycznych uczył się od ojca, który wpoił mu zasadę, że nie istnieje zdanie „nie da się”. Gdy w młynie i w pobliskim dworze w Niepołcku starsi Młynarze prowadzili zaawansowane prace, Krzysiek był już ważnym ogniwem wśród nich. Kim oni są?

Gdy w latach osiemdziesiątych młodzi studenci i pracownicy Instytutu Architektury Politechniki Szczecińskiej przedzierali się przez krzaki wokół młyna, nie przewidywali, że zostaną Młynarzami przez duże „M”, jak nazywa się dziś członków Stowarzyszenia na rzecz Ochrony Dziedzictwa „Młyn-Papiernia”, które podjęło się niemożliwego. Młyn został skreślony przez wszystkie władze. Nic dziwnego. Nadawał się do rozbiórki: zagrażał zdrowiu i życiu.

Jako miejscowi przyzwyczajamy wzrok do rozkładu, przestajemy go widzieć, budzimy się, gdy coś gruchnie. Przybysz widzi ostrzej. Dostrzega więcej szczegółów, nie choruje na obojętność, rusza z marszu do działania. Owi studenci, między innymi Małgorzata i Tomasz Cykałowiczowie, którzy dziś jako znani szczecińscy architekci koordynują prace w młynie i organizację warsztatów *Kultura drewna*, wszczęli wtedy prawdziwy protest. Zaczęli naciskać na konserwatora zabytków, którego starania pomogły ocalić budynki.

Gdy konstrukcja została uratowana, można było zacząć pracować nad detalami, między innymi elementami ciesielskimi, które wykonują wolontariusze na



warsztatach *Kultura drewna*. W ich trakcie zbudowali ścianę edukacyjną, czyli modelową ścianę ryglową, którą rozbudowują uczestnicy kolejnych warsztatów. Można ją w każdej chwili rozłożyć i przewieźć w inne miejsce. Odtworzyli też według pierwotnego wzoru wrota i drzwi, które wymagają bardziej wyrafinowanej pracy stolarskiej.

Pasjonata danego miejsca zawsze interesuje jego przeszłość. Nieznajomość historycznych funkcji i elementów konstrukcyjnych budynku może skutkować poważnymi błędami w jego renowacji. Przyjaźń z konkretnym miejscem, poprzez bliski kontakt z przedmiotami, ożywia przeszłość. Młynarze nawiązują kontakty z badaczami zza granicy, między innymi z Francji i Niemiec. Nurkują w antykwariatach. W jednym z nich trafili na walec starego papieru. Rozpoznali znak wodny – pochodzi z Barlinka. Odkrywają kolejne tajemnice młyna, kopią w ziemi, która kryje jeszcze sporo zagadek. Między innymi tajemnicze, niezbadane pomieszczenie, które na zdjęciach satelitarnych przypomina kryptę.

W 2009 roku Młynarze za pięć i pół tysiąca złotych kupili ruiny osiemnastowiecznego dworu ryglowego w Niepołcku, osadzie założonej w średniowieczu przez cystersów. Ta symboliczna kwota może zwiścić. Starosta nie był w stanie sprzedać jej w kilku przetargach. Oznacza ona nie lada zobowiązanie, bo dwór był ruiną wpisaną przez konserwatora do rejestru zabytków. Nikt nie

wierzył, że uda się go uratować. Do Niepołcka przybył nawet z Krakowa jeden z najwybitniejszych ekspertów w dziedzinie konserwacji, żeby na własne oczy zobaczyć wyczyn Młynarzy, którzy podnieśli budynek w brawurowy sposób na specjalnych taśmach – po dwa centymetry na dobę, by wytrzymała konstrukcja, i w ten sposób prowadzili pierwsze prace renowacyjne. Potem w ramach programu *Kultura drewna* w dworze w Niepołcku odbyły się pokazy praktyczne i nauka tradycyjnych technik budowlanych. Wolontariusze mogli zapoznać się z pracami konserwatorskimi przy stabilizacji budynku. Wykonywali prace pomocnicze przy ciosaniu wsuwek stropowych, przygotowaniu strychu do naprawy wewnętrznych ścian czy przy wykonaniu gniazd do naprawy belek stropowych.

Dwór, przed wojną miejsce spotkań bohemy artystycznej Berlina, jest barwną opowieścią o relacjach polsko-niemieckich. Praca z zabytkami to – jak mówi doktor Tomasz Cykalewicz – prostowanie historii, odkrywanie prawdy o wydarzeniach historycznych, przywracanie należnego miejsca niesłusznie zapomnianym postaciom. Dopiero upływ czasu pozwala na sprawiedliwy osąd ludzi i wydarzeń, odwracanie hierarchii.

Młynarze planują utworzyć kiedyś w młynie muzeum z zebranych eksponatów i uruchomić młyn w ramach pokazów dla turystów. Ale nie jest to ich główny cel. Stare budynki, by żyły, muszą zacząć spełniać nowe funkcje. Stowarzyszenie planuje stworzenie w swoich budynkach sali koncertowych i pracowni malarskich.

– Te budynki nie są puste. Tu czuć historię, klimat, dlatego przyjeżdżam tu tyle lat – mówi Alicja Głowacka.

## Więcej kultury

Do młyna w Barlinku dzięki warsztatom w ramach projektu *Kultura drewna* zaglądamy częściej miejscowi. Niektórzy sami wzięli udział w warsztatach i wykorzystują umiejętności w swoich gospodarstwach. Na zajęciach uczą się prawdziwych technik ciesielskich – bez użycia gwoźdźcia, dzięki czemu można wykonać estetyczne elementy i wykończenia, na przykład altan czy elewacji.

– Uczymy się tego wszystkiego, bo proste techniki i materiały bywają najtrwalsze. Trzeba dbać, żeby nie zostały zapomniane. Posługując się nowoczesnymi technologiami, nie możemy zapomnieć, jak radzić sobie z prostymi surowcami – wyjaśnia Magdalena Witek, wolontariuszka.



Krzysztof Tymbarski dodaje:

– W pracy architekta rzadko można liczyć na efekt realizacji projektu, bo w czasie budowy wprowadza się zmiany, coś nie wychodzi. W pracy ciesielskiej ten rezultat widać, to daje wielką radość.

Grupę trudno zwołać na obiad. Wolontariusze na warsztatach – jak sami mówią – nie mogą oderwać się od roboty, wciąga ich, pozwala odpocząć od komputera. Zresztą, zasięg jest tylko w jednym miejscu. Wieczory spędzają przy ognisku. Podkreślają, że zdobyli wiedzę, jak praktycznie dbać o dziedzictwo.

– Udane przykłady zachowania obiektów ryglowych działają jak katalizator. Wywołują zainteresowanie, są naśladowane i inicjują znakomity proces upowszechniania ochrony zabytków – podkreśla Tomasz Cykalewicz, który opiekuje się programem merytorycznie.

Krzysztof Tymbarski podglądał, jak Skandynawowie wykorzystują drewno w architekturze. W budownictwie zawsze ceniło się materiały bezpieczne, trwałe i zdrowe, a drewno potrafi się odwdzięczyć. Jest elastyczne, bardziej wytrzymałe na ruchy ziemi, tąpnięcia. Wymaga jednak wiedzy. To Młynarze opowiedzieli mi, dlaczego sosna, miękkie drewno, użyte do budowy młyna trzyma się lepiej od dzisiejszych. Dawniej ściśle pilnowano daty ścinania drzew, robiono to w drugim, trzecim tygodniu po Nowym Roku. Drewno sezonowało się, suszyło się powoli, a nie naprędce w suszarniach – w ten sposób pęka, łatwiej kruszy się, jest osłabione. W takich budynkach jak młyn w Barlinku przeprowadzano regularnie dezynfekcję, wpuszczając do środka specjalnymi rurami nagrzane powietrze albo gaz. Drewno to „żywy” budulec. Wymaga kultury.



# Wszystko po Niemcu

Bartosz Józefiak

**NGO**

Fundacja „W Rozwoju”

”

Dziedzictwo kulturowe źródłem opolskiej  
tożsamości. Obóz edukacyjny dla wolontariuszy 2



Biała





Pacjenci otwierają szeroko oczy. Orszak ślubny wychodzący z przychodni zdrowia to w końcu rzadki widok.

Jest 1959 rok. Ślub bierze pielęgniarka Anna i Bogdan, który w Białej otwiera pierwszy zakład fotograficzny.

Młodzi i goście, mijani przez zaskoczonych pacjentów, czekają na zamówiony samochód. Jedyny w mieście. Niestety, pojazd nie dojeżdża. Orszak rusza do kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, który pamięta czasy Władysława Opolskiego. Pieszko idzie się cztery minuty po stromej, kamienistej drodze.

W kościele okazuje się, że panna młoda nie ma podpisu z parafii w Nysie, do której wcześniej należała. Proboszcz nie chce dać parze ślubu. W końcu się zgadza, ale Anna zraza się do parafii. Jeszcze nie wie, że za parę lat kościół będzie jej głównym miejscem pracy.

Kościół, szpital i kamienna dróżka prawie nie zmieniły się od tego czasu. Anna Myszyńska ma więcej opowieści z zabytkami w tle. Bo w Białej człowiek nie przejdzie pięciu minut, żeby nie trafić na PRL-owski napis „Zakłady Gastronomiczne”, kościół ewangelicki, gotycką wieżę czy fragment murów obronnych.

Anna ucieszyła się, gdy do jej drzwi zapukały dziewczyny, które pierwszy raz odwiedziły Białą. Miała im mnóstwo do opowiedzenia!

Dziewczyny są wolontariuszkami Fundacji „W Rozwoju”. Przyjechały do Białej z misją. Misją ratowania historii.

## **Boso po kościele**

Plan był taki: wolontariusze zapytają mieszkańców o wspomnienia z zabytkami Białej w roli głównej. Dzięki temu inaczej spojrzą także na swoje rodzinne strony.

– Idea projektu wzięła się z przekonania, że młodzież ma znikomy kontakt z seniorami. W ten sposób tracimy wielopokoleniowość. A świadomość bycia we wspólnocie jest istotna dla rozwoju osobowości, odpowiedzi na pytanie: kim jestem? – wyjaśnia Magdalena Bury-Zadroga, prezeska Fundacji „W Rozwoju”.

Wie, co mówi. Jej dziadkowie przyjechali do Prudnika spod Iwano-Frankowska (kiedyś polskiego Stanisławowa). Kilka lat temu Magdalena pierwszy raz odwiedziła rodzinną wieś. Widziała ceglany kościół na górcie, do którego jej babcia jako młoda mężatka spacerowała boso razem z mężem i maleńkim synem.

– Coś magicznego. Miałam ciarki na plecach. W Prudniku nigdy się tak nie czułam – opowiada.



IN MEMORY OF  
THE VICTIMS OF  
THE HOLOCAUST



Dziesięciu wolontariuszy z całego województwa zamieszkało na pięć dni w Centrum Kultury w Białej. Najpierw zajęli się teorią. Czym są zabytki? Jak o nie dbać? Potem zwiedzali Białą, sprząтали teren wokół historycznych miejsc: murów obronnych, wieży wodnej, kapliczki na łące. Najważniejszą częścią były rozmowy z mieszkańcami.

– Nasi wolontariusze nawiązali świetny kontakt z seniorami. Chcieli rozmawiać z obcymi ludźmi, chłonęli historie i jeszcze było im mało. Dlatego zorganizowaliśmy dodatkowe spotkanie z seniorami w ośrodku kultury – twierdzi Magdalena Bury-Zadroga.

Wolontariusze nagrywali rozmowy. Dziś każdy może odsłuchać ich fragmenty na stronie projektu. Znajdziemy tam opowieści o krzyżach pokutnych, super-samie w rynku, kaflarni, cegielni i szkole. O wieży ciśnień, zabawach z dzieciństwa, parku miejskim i żydowskim cmentarzu. Losy Białej w pigułce.

Dzięki zasłyszonym opowieściom wolontariusze przygotowali też grę terenową. Wzięły w niej udział dzieci z Białej. Dla wielu był to pierwszy kontakt z historią rodzinnego miasta.

– W Białej najlepiej widać, że zabytki to nie jest coś, do czego się jedzie. Wśród zabytków każdy z nas żyje – uważa Magdalena.

## **Szkoła jak zamek**

– Jak włoskie miasteczko – zachwyca się Bogdan Myszyński, patrząc na panoramę Białej z okien pociągu.

Jest 1959 rok. Bogdan z narzeczoną podróżuje po Śląsku, szukają miejsca do życia. Biała podoba mu się najbardziej.

W urzędzie przyznają mu lokal przy rynku. Śpi w studiu, bez przerwy remontuje. Zaprasza fryzjerki na darmową sesję. Zdjęcia uśmiechniętych kobiet wywiesza przed zakładem na zachętę.

Na nudę nie narzeka. Śluby, komunie, chrzciny, „rocзки”: zdjęcia na pierwsze urodziny dziecka. Do tego fotografie pomników, domów, stodół, mebli i paczek, które przychodzą z Rajchu. Robi też zdjęcia zmarłym przy otwartej trumnie. To często jedyna pamiątka dla rodzin rozdzielonych żelazną kurtyną.

Bogdan buduje parterowy budynek sto metrów od kościoła. To ich nowy dom i zakład w jednym. Zarazem pierwszy budynek zbudowany w Białej po wojnie. Anna rzuca pielęgniarski czepek. Szkoli się u męża na fotografa.



Myszyńscy mają dwóch synów: Pawła i Piotra. Ania często spaceruje z nimi nad rzekę. Mijają obronne mury miasta. Idą na pola, gdzie kobiety rozkładają prześcieradła na łąkach, by słońce wywabiło plamy. Chłopcy chodzą do szkoły kilkaset metrów od domu. Podstawówka i liceum to zamek z XVI wieku – dawna siedziba grodu kasztelańskiego. W PRL-u pod ten zamek zakrada się młody Paweł. Przez okna wchodzi do internatu, odwiedza pierwsze miłości.

Zakład fotograficzny Myszyńskich działa do dziś. Prowadzi go Paweł. Piotr został malarzem. Gabinet ma pełny obrazów z panoramą na zamkową wieżę.

## **Kiedy chodzą bery?**

O czym wolontariusze dowiedzieli się w Białej?

Joanna Krause wspomina zajęcia, na których każdy miał opowiedzieć o rodzinnych zabytkach. Większość osób nie miała pojęcia, o czym mówić. Joasia powiedziała o koszulkach, które przywozi z każdego wyjazdu z rodzicami. Ostatnią ma z Chorwacji. Każdą podpisuje lub maluje coś na niej z mamą.

Na badaniach terenowych trafiła z koleżankami do człowieka, który pokazał im zdjęcia miasta sprzed lat. Pomyślała: „Szkoda, że nie mam więcej rodzinnych zdjęć. Babcia ma sporą kolekcję”.

Joasia skończyła liceum plastyczne w Opolu. Bardzo lubiła zajęcia z historii sztuki. Tym bardziej się ucieszyła, gdy na warsztatach w Białej dowiedziała się, jak dbać o zabytki.

Mieszka z rodzicami we wsi Narok. Prowadzi stronę internetową, gdzie wrzuca informacje z życia miejscowości: jaki jest rozkład mszy z intencjami, kiedy będą dożynki, kiedy chodzą bery. To taka tradycja. W ostatnią sobotę przed wielkim postem młodzież przebiera się za cyganów, parę młodą, leśniczego, co prowadzi na sznurku niedźwiedzia (bera). Chodzą od domu do domu. Każda pani musi zatańczyć z niedźwiedziem.

Pomysł na stronę internetową podsunęli rodzice Joasi. Myśleli o mieszkańcach, którzy wyjechali za zachodnią granicę. Bo tutaj każdy ma rodzinę w Niemczech.

– Gdy opowiadam rówieśnikom o Naroku, to nie chcą słuchać. A dla mnie to ciekawe. Na przykład, że była renowacja wieży na kościele, bo w czasie wojny ją zbombardowali. Warto wiedzieć, co tu się działo. W końcu tu mieszkamy.

Joasia podczas gry terenowej dla dzieciaków w Białej miała przedstawić historię jednej z kamienic. Mieszkańcy nic o niej nie wiedzieli. Opiekunka wolontariuszy opowiadała im, że to dawna dzielnica żydowska. Joasia na klatce schodowej zobaczyła zabytkowe sklepienia i mozaiki. „Dom należał do bogatszych mieszkańców – żydowskich kupców”, pomyślała.

– Ale lokatorzy nie mieli pojęcia o historii tego miejsca. Jeśli ktoś żyje w budynku, który został wpisany do rejestru zabytków, to powinien się bardziej interesować. Może dzięki nam mieszkańcy dowiedzieli się więcej?

## **Kikuty**

„Ruina” – myśli Marysia Czerniak. Wjeżdżając furmanką na bielski rynek, ogląda kikuty kamienic.

Ma dwanaście lat. Żeby tu dotrzeć, jej rodzina musiała podróżować przez cztery lata. Od czasu, gdy dobra dusza odpowiedziała ojcu: „Uciekaj, jak nie chcesz na Sybir trafić”.

W czterdziestym czwartym spakowali krowę do pociągu i ruszyli. Mszana, Wrocław, Raclawice, w końcu Biała. Szwagier namawiał ojca: sprzedaj krowę, chodź na państwową robotę. Ojciec dostał pracę na kolei.

Dziewczynka pierwszy raz ogląda nowy dom i nie jest zadowolona. Cała pierzeja rynku zrujnowana przez bombardowania. Zaraz jej wzrok przykuwa inny widok.



Po zniszczonym miasteczku pędzą wozy. Na jednym chłopci siekają kapustę, na drugim pieką chleb, na trzecim piorą. Każdy wóz to inny aspekt życia na wsi. Właśnie zaczynają się dożynki. Wojna czy nie wojna, tradycji musi stać się zadość. Na końcu jedzie samochód miejskiej spółdzielni. Pracownicy sypią dzieciom cukierki.

Młoda Maria dostaje pracę w GS-ie. To dziś to dla niej ważne miejsce na mapie Białej. Tam, gdzie spędziła pół życia, dzisiaj stoi restauracja „Pod Łysą”. Ale magazyny i biurowiec to już ruiny.

Kikuty kamienic w rynku najpierw zastąpił park, a potem bloki. Cudem w mieście przetrwał szpital. Prawie go zamknęli w latach dziewięćdziesiątych. Mieszkańcy płacili specjalny podatek, by wyciągnąć go z zapaści. Funkcjonuje do dziś.

Maria obeszła z dziećmi i wnukami wszystkie dróżki prowadzące na pola. Na górce za żydowskim cmentarzem połamali z cztery pary sanek. Chodzili też za starą wieżę ciśnień, którą widać z trasy na Prudnik.

Maria wspomina również żydowską kuczkę: drewnianą altankę, w której Żydzi tradycyjnie obchodzili święto Sukkot. Widziała je z okien poprzedniego mieszkania. Nic już z niej nie zostało.

I owszem, większość tych zabytków jest po Niemcach. I co z tego? Teraz to część ich wspólnej historii. Mamę Marii czasami łapała nostalgia. Wzdychała: „Co by było, gdybyśmy na Kresach zostali...”.



– A ja na to zawsze: Mamo, ale co my byśmy tam robili? Do miasta daleko, z gospodarki byśmy nie wyżyli. Ten Śląsk to nam spadł z nieba.

## **Duma ze Śląska**

– Podchodziliśmy do ludzi, ale oni się wykręcali, mówili że nie są stąd, nie mają czasu. Pytamy jedną panią, czy tu mieszka. Ona mówi, że tak. A ma jakieś wspomnienia z Białą? Nie, takich rzeczy to ona nie ma. Szukaliśmy też bramy Nyskiej. Mieszkańcy nie wiedzieli nawet, o co nam chodzi – opowiada Agnieszka Kruppa, wolontariuszka.

Agnieszka w Kadłubie – rodzinnej wsi pod Opolem – trochę się nudzi. W ramach wolontariatu bawi się z niepełnosprawnymi dziećmi, odwiedza też schronisko dla zwierząt. Poza tym: do Opola dojazd jest słaby, atrakcji brakuje. Dlatego bez wahania zgodziła się, gdy koleżanka zaproponowała jej wyjazd na warsztaty do Białej.

Wcześniej nigdy nie słyszała o tym miasteczku. Zrobiło na niej wrażenie trochę zapomnianego. Co dziwne, bo przecież mnóstwo tu zabytków.

– W końcu trafiłyśmy na panią, która mieszka w Białej od dziecka. Zabrała nas do domu na obrzeżach. Razem z mężem opowiedzieli o wszystkich zabytkach, o swojej młodości. To było jak wizyta u babci i dziadka. Magicznie.



Zdobytą wiedzę Agnieszka wykorzystała w grze miejskiej. Dzieciaki pokonywały tor przeszkód, omijały pułapki, przy okazji wykonując zadania i odpowiadając na pytania dotyczące historii. Biegały rozemocjonowane od punktu do punktu. Miło było patrzeć, jak wciągają się w zabawę. Może to ich pierwsza lekcja lokalnej historii?

Agnieszka zastanawia się, co sama będzie kiedyś wspominać z Kadłuba? Na pewno to, że miała dzieciństwo bez telefonów, Internetu. Dzieciaki spotykały się zawsze w tym samym miejscu i razem wybierały, w co będą się bawić.

Opowiadałyby też o swoich śląskich korzeniach. W szkole jej koledzy wstydzą się mówić po śląsku. To ponoć oznaka wieśniactwa. A Agnieszka w ogóle tak nie uważa. Przeciwnie: ona ze swoich korzeni jest dumna.

## **Obowiązki rycerza**

– Pierwszy raz widząc miasteczko, pomyślałam, że mnóstwo tu zabytków. To aż dziwne, że nigdy tu nie byłam. Chyba że przejazdem – opowiada Martyna z Prudnika.

Teraz Martyna ma już swoje ulubione miejsca w Białej. Z koleżankami chodziły za wieżę ciśnień, siadały na polu i gadały godzinami. Lubi też opuszczoną działkę niedaleko bagna i starą, murowaną ławkę.



Wcześniej nigdy nie interesowała się zabytkami. Nawet nie bardzo wie, co można zobaczyć w Prudniku.

Na zwiadzie Martyna trafiła do domu Anny Myszyńskiej. Artystyczny dom zrobił na niej duże wrażenie. Także to, ile miejscowa fotografka wiedziała o historii swojego miasta. Martynie najbardziej podobała się opowieść o rycerzach. Rycerz miał obowiązek pochować osobę, którą zabił, a na jej grobie postawić wykuty z kamienia krzyż. I te krzyże przetrwały w Białej do dzisiaj.

Później było jeszcze spotkanie z seniorami w Gminnym Centrum Kultury. Tam historii było jeszcze więcej. Kolejna pani opowiedziała Martynie, jak bawiła się w chowanego na wieży ciśnień. Albo o tym, że piorun uderzył w wieżę prudnicką. Strażacy mieli za krótkie drabiny i węże, żeby ugasić pożar. Okazało się, że seniorzy mają pełno wspomnień z zabytkami z Białej.

Po tym obozie Biała to ulubione miejsce Martyny. Ma wrażenie, że czas płynie tu wolniej, a ludzie są dla siebie miłsi. Zresztą, teraz Martyna wie więcej o Białej niż o Prudniku. I trochę jej wstyd.

Z pomocą przychodzi mama. Wyciąga książkę ze starymi pocztówkami z Prudnika.

– Zobacz, tu stał kościół ewangelicki. Tu liceum, przetrwało do dzisiaj. To nasza ulica: Sobieskiego. Te same kamienice, tylko nazwa inna – opowiada mama.

Martyna zaraz wyjeżdża do internatu przy wojskowym liceum. Po szkole chciałaby studiować kryminalistykę albo zostać dziennikarką. Nie wie, czy wróci do Prudnika na stałe. Ale obiecała sobie, że pozna lepiej jego historię. Tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś kiedyś do niej podszedł na ulicy i zapytał, co wie o swoim mieście.

– To, że ludzie w Białej mają jakieś wspomnienia, wiedzą coś o swoim miasteczku, to jest super – uważa Martyna.

## **Wkoło Niemcy!**

– Jezus Maria, moja córka w Niemczech mieszka! – krzyczy mama Janiny Wityńskiej.

Są lata siedemdziesiąte, a mama właśnie wróciła z kościoła.

Janina pochodzi z Jędrzejowa pod Kielcami. Po wojnie jej mąż dostaje pracę w szkole w Opolu. Przez pierwsze lata w Opolu i Prudniku Niemców spotyka rzadko. Ale w siedemdziesiątym pierwszym mąż dostaje pracę w Białej. Dla Janiny już spacer ze stacji kolejowej do mieszkania to przerażające doświad-



czenie. Wkoło niemiecki! Ale później dostaje pracę w magazynie zakładów włókienniczych. A tam: Kresowiaci, Ślązacy, Niemcy. Pracują razem, jakby nigdy nic. „Może nie ma się czego bać?” – myśli.

O tych Niemcach nie mówi jednak rodzicom. Stąd zdziwienie mamy, która przyjechała w odwiedzin.

Do magazynów Janina miała iść na chwilę, a została tam dwadzieścia pięć lat. Po drodze tworzy w zakładzie Solidarność. Do związku zapisują się prawie wszyscy. Strajki w Bydgoszczy? Biała staje na dwie godziny. Stocznia walczy? Biała wywiesza flagi. Protesty skończyły się, gdy Janina pewnej niedzieli wróciła z mszy w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny (proboszcz wspierał Solidarność). Włączyła radio i usłyszała Jaruzelskiego. Był 13 grudnia 1981 roku.

Janina o zakładach mogłaby opowiadać długo. Ale podobnie jak w wypadku GS-u: za bardzo nie ma o czym. Dziś zakłady mija każdy, kto wąską dróżką podąża na cmentarz. Straszą puste okiennice.

Janina chętnie opowie za to o zamku, bo tam uczył się jej syn i córki – największe rozrabiaki w klasie. Wie także, że obok jej bloku mieszkali Żydzi. Tam, gdzie jest komora transformatorowa, stała synagoga. Obok domu Janiny niszczeje kościół ewangelicki. Po wojnie przerobili go na stolarnię. Teraz ma być remontowany.

– Świetnie. Żeby jeszcze zamek odnowili – mówi Janina. – To nasza historia. Nieważne: Niemców, Polaków, Żydów czy Ślązaków. Po prostu: mieszkańców Białej.

Korzystałem z książki Anny Myszyńskiej *Miałam szczęście do ludzi*.



IRENA

IRE



# Płyn rzekami, kanałami

Justyna Pobiedzińska

**NGO**

Fundacja Otwartego Muzeum Techniki



Akademia Archeologii Przemysłowej



Wrocław



## Irena, córka Saturnina

„Irena” urodziła się na łące nad Brdą pod Bydgoszczą w roku 1936. Jej ojciec nazywał się Saturnin Marzątka (jest na to dokument). Nie wiadomo, czy „Irena” została wtedy ochrzczona, ale imię na pewno dostała po żonie Saturnina, Irenie.

„Irena” była piękną berlinką i ważyła 271 ton. Pracowała bez wytchnienia przez kilkadziesiąt lat. Pływała głównie po Odrze.

Uroczysty chrzest przeszła osiemdziesiąt lat później, w marcu 2016. Był tort z napisem „Płyn rzekami, kanałami”, była matka chrzestna i kilkuset gości.

Dziś barka „Irena” jest pływającym Muzeum Odry. Remontowało ją siedemdziesięciu pięciu wolontariuszy (ich nazwiska uwieczniono na jednej ze ścian); na jej pokładzie mieści się zbiór kilkuset zabytków techniki – to komputery, telefony, maszyny do pisania, wirnik ogonowy śmigłowca, aparaty fotograficzne, maszyny do ostrzenia ołówków, pierwszy twardy dysk (o pojemności czterech kilobajtów!), pierwszy notebook Olivetti (rok produkcji: 1988), pierwsze programatory dla fabryk włókienniczych. Tu znajduje się siedziba Fundacji Otwartego Muzeum Techniki (FOMT), Bractwa Mokrego Pokładu, seminarium Dolnośląskiej Akademii Lotnictwa; odbywają się warsztaty i seminaria Akademii Archeologii Przemysłowej i dziesiątki lekcji muzealnych. Dwa razy „Irena” popłynęła w rejs po Odrze – raz w dół, rok później w górę rzeki. Wolontariusze prowadzili lekcje muzealne w mijanych po drodze portowych miastach.

W ładowniach przerobionych na sale wykładowe można obejrzeć różne wystawy, filmy, skleić papierowy model holownika „Nadbor” i spotkać się z ludźmi, którzy związali swoje życie z rzeką. Można też wirtualnie zwiedzić maszynownię holownika parowego „Nadbor”, chwilowo niedostępną dla zwiedzających. Holownik przechodzi właśnie kurację odmladzającą we wrocławskiej stoczni „Hubertus”.

„Irena” to muzeum, szkoła i laboratorium.

Kwiaty na pokładzie (wielkie donice zrobiono ze starych zbiorników do podgrzewania wody) podlewa kapitan Mieczysław Balcerkiewicz. Jest tu codziennie. O barce mówi z czułością: „nasza «Irenka»”.

## Obfajrowano bumcypel na hamerku

W sali wykładowej w kącie stoi bumsztak.

– Kto dziś wie, co to jest bumsztak albo bumczyk? – pyta profesor Stanisław Januszewski, pomysłodawca i *spiritus movens* FOMT i dziesiątek innych przed-

siewzięć. – Język pokazuje, skąd docierały do nas narzędzia – z Niemiec. W języku marynarzy morskich dominują nazwy zaczerpnięte z angielskiego.

FOMT każdego roku publikuje kilka prac naukowych z dziedziny historii techniki (wydano już ponad osiemdziesiąt tytułów). Między innymi *Leksykon odrzański* Mariana Kosickiego, gdzie autor wyjaśnia w kolejności alfabetycznej wszystkie zapomniane słowa, używane kiedyś przez marynarzy śródlądowych.

„Bumsztak: drąg długości 4–6 m i grubości ok. 18 cm, zaopatrzone na dolnym końcu w żelazne dwupalczaste okucie zwane gabel do wbicia w grunt, a na drugim końcu w drewniany, dębowy uchwyt dwuręczny, zwany hamerem. Bumsztak musiał się znaleźć na pokładzie każdej jednostki pływającej. Najczęściej służył do utrzymywania statku w odpowiedniej odległości od nabrzeża skarpowego po zacumowaniu na dłuższy postój. Po założeniu lin cumowniczych na brzeg wbijano bumsztak sworzniem w dno i odpychano statek, aż do odpowiedniego naprężenia lin. Wówczas owijano bumcypel w ósemkę na uchwycie bumsztaka, jak mówiło się: «Obfajrowano bumcypel na hamerku». W ten sposób chroniło się obłó statku od ocierania się o skarpe czy inne podwodne przeszkody”.

Złamany, sękaty bumsztak z sali wykładowej opatrzone tabliczką z informacją: „Bumsztak, ten, który został złamany w 1958 roku przez kapitana żeglugi śródlądowej Mariana Kosickiego na Odrze, km 296+500. Odnaleziony w 2008 roku przez Leszka Bartosiewicza i przekazany FOMT”.

Z *Leksykonu odrzańskiego* pochodzą też inne wyrazy: buchlada, fajram, pegel, szrekbina, raselbok. Raselbok zasługuje na szczególną uwagę.

## **Raselbok (rapelbok)**

Raselbok to zwierzę futerkowe. Bardzo cenne – można na nim dobrze zarobić. O raselbokach opowiadali praktykantkom doświadczeni marynarze. Młodzi, wiedzeni chęcią zarobku, wysiadali na łód i całe noce polowali na raselboki. Reszta załogi spała w najlepsze. Rano żartom nie było końca.

(Dotychczas nikt jeszcze raselboka nie złapał).

Raselboki wspomina kapitan Mieczysław Balcerkiewicz, na rzece od 1965 – najpierw na pchaczach, dźwigach, statkach pasażerskich, w Polsce i całej Europie, w końcu na „Irenie” jako pracownik Otwartego Muzeum Odry:

– Praca w Muzeum to dla mnie wielkie szczęście. Choć jestem na emeryturze, wciąż mogę robić to, co zawsze kochałem. Jeszcze żeby udało się przywrócić żeglugę na Odrze, bo aż się serce ściska, jak się na to wszystko patrzy.



## **Kto ma serce do żeglugi, niech przychodzi na spotkania**

Od 2003 roku na regularne spotkania na „Irenie” przychodzą weterani żeglugi od-rzańskiej: marynarze, stoczniovcy, mechanicy, inżynierowie, ekonomiści, hydro-technicy, nauczyciele i wszyscy, którym nie jest obojętne dziedzictwo przemysłowe. W każdy pierwszy czwartek miesiąca na pokładzie meldują się bracia i siostry z Bractwa Mokrego Pokładu (najstarszy członek ma dziewięćdziesiąt trzy lata). To także wolontariusze FOMT.

– Bractwo zrzesza ludzi związanych z rzeką. Każdy zna się na czymś szczegól-nym. Wiedza ludzi z Bractwa bardzo przydała się, kiedy remontowaliśmy holownik parowy „Nadbor” i pływający dźwig „Wróblin” – ci ludzie przecież wiedzą, jak to robić, bo robili to swoje całe życie zawodowe – wyjaśnia profesor Januszewski. – Zawsze mogę na nich liczyć. „Kapitańskie opowieści” były pomysłem braci Mokrego Pokładu.

## **Kapitańskie opowieści**

Wolontariusze z Muzeum Odry zbierali opowieści kapitanów, których życie związane było z rzeką. Tak powstał film dokumentalny.

Kapitan Jerzy Onderko wspomina pewien nocny eksperyment. Był kapitanem „Kupały”, jednej z kilku jednostek wytypowanych na początku lat pięćdziesią-tych do doświadczenia mającego na celu sprawdzenie, czy barki mogą pływać również w nocy. Na wysokości Kostrzyna wojska radzieckie rozpoczęły ostrzał składu i rozkazały załodze zatrzymać pociąg holowniczy na kotwicach na noc. Okazało się, że nie dopełniono wszystkich procedur i w wyniku niedopatrzeń żegluga weszła w konflikt z wojskiem.

Kapitan Mieczysław Balcerkiewicz opowiada o wypadku pływającego dźwi-gu „Wróblin” na jazie w Rędzinie. W 1976 roku woda zepchnęła go na jaz, za-łodze cudem udało się w ostatniej chwili uciec. Wydobywanie z mętnej wody rwącej rzeki zawieszono na ramieniu dźwigu statku było przedsięwzięciem karkołomnym, ale po kilku godzinach akcji ratunkowej „Wróblina” udało się ura-tować. Dziś i on wchodzi w skład Muzeum Odry.

Kapitan Janusz Fąfara wspomina legendarną Nową Sól, z dużym portem prze-ladunkowym i stoczną, w której pracowało trzysta osób. W dużym basenie portow-ym zimowały barki, tam też bunkrowano węgiel dla holowników. Kapitan pamię-ta wieczorne dansingi i spragnione towarzystwa pracownicy fabryki nici „Odra”. Owocem spotkań marynarzy z dziewczętami z Nowej Soli były liczne małżeństwa.

Od małżeństw marynarzy już blisko do dzieci Odry.



## Dzieci Odry

To kolejny projekt Muzeum Odry. Wolontariusze udokumentowali opowieści ludzi, którzy urodzili się na barce i na Odrze spędzili dzieciństwo. Marynarze często pływali z całymi rodzinami, a ich żony zatrudniano jako kucharki. Na pokładach hodowano zwierzęta (w archiwum Muzeum jest zdjęcie, na którym widać, jak kury wędrują po bumsztaku na ląd; na innym zdjęciu dwóch majtków nakłania wieprzka do wejścia na trap), a żony marynarzy uprawiały warzywa i kwiaty. Rodziły się dzieci.

We wspomnieniach dorosłych już dziś ludzi często powtarza się słowo „samotność”. Bywało, że dzieci Odry tygodniami nie widziały innych dzieci, nie nawiązywały stałych przyjaźni, bo tylko w przelocie bawiły się w portach z dziećmi innych kapitanów. Czasem chodziły do szkoły przez kilka dni w Szczecinie, a kilka we Wrocławiu. Szybko musiały dorastać, pomagać rodzicom w pracy na statku, nie miały zabawek i dysponowały bardzo ograniczoną przestrzenią do zabawy. Pokłady barek były ich podwórkami (na kolejnym zdjęciu z archiwum uwieczniono chłopca jeżdżącego po pokładzie na rowerku).

Jedna z córek Odry pamięta, jak w wieku dziesięciu lat sama wprowadziła do portu wrocławskiego pociąg holowniczy (jeden holownik ciągnął czasem nawet i osiem barek bez napędu), bo jej zmęczony trunkami ojciec zasnął w sterówce.



W większości wspomnień pojawia się opowieść o dwu- i trzylatkach wrzucanych do wody w kołach ratunkowych albo korkowych kamizelkach. Każde dziecko Odry najpierw musiało nauczyć się pływać.

### **Granitowy pomnik fiata 125 p**

Z Muzeum Odry współpracuje na stałe około trzydziestu wolontariuszy, ale od początku przez pokład „Ireny” przewinęło się ich około dwóch tysięcy. To także studenci profesora Januszewskiego z Politechniki Wrocławskiej (na pokładach muzealnych statków profesor wykladał historię techniki i archeologię przemysłową).

Marek Prokopowicz, były student profesora, jako wolontariusz pracuje w Muzeum od 2006 roku. Zajmuje się obsługą informatyczną w Muzeum, dużo dokumentuje. Pamięta swoje początki: za godzinę nieobecności na zajęciach u profesora trzeba było odpracować trzy godziny przy remoncie „Ireny”, taki był przelicznik. A mimo to na seminarium ustawiały się na nabrzeżu kolejki. Profesor pamięta, jak dobierał studentów:

– Szukałem ludzi, którzy potrafią zrobić coś rękoma: spawaczy, malarzy, żeglarzy.

Marek Prokopowicz:

– Praca w Muzeum stwarza możliwości zobaczenia na żywo i dotknięcia tego, o czym się uczymy. Przez lata stworzyliśmy świetną ekipę zapaleńców,



bardzo dużo razem zwiedzaliśmy. Teraz widzę, jakim to było motorem napędowym dalszych działań nas wszystkich. Dziś jeden kolega wolontariusz buduje na całym świecie mosty, a Wioletta Wrona-Gaj po studiach i pięciu latach pracy w Muzeum Odry została kierownikiem Muzeum Przemysłu i Techniki w Parku Wielokulturowym „Stara Kopalnia” w Wałbrzychu. Poza tym to wspólnie, co tu robimy – najpierw remontujemy gdzieś starą lokomotywę, rdzewiejącą na bocznicach, a potem możemy się nią przejechać zapomnianą trasą kolejową w górach.

Albo zbudować razem granitowy pomnik dużego fiata.

Pomnik – w skali jeden do jednego, z jednego kawałka granitu – stanął pod Wrocławiem w 2013 roku, w czterdziestą rocznicę upamiętniającą światowy rekord dużego fiata. W czerwcu 1973 roku na podwrocławskim odcinku polniemieckiej autostrady A4 ośmiu kierowców (między innymi Sobiesław Zasa da i Andrzej Jaroszewicz) podjęło się pobicia kilku światowych rekordów fiatem 125. Fiat osiągnął na dystansie 25 tysięcy kilometrów średnią prędkość 138,08 kilometrów na godzinę. Kierowcy jechali nieprzerwanie przez 361 godzin, 36 minut i 39 sekund.

– Pomnik się fiatowi należał – uważa Marek Prokopowicz.

Na uroczystości upamiętniające czterdziestolecie bicia rekordu dużego fiata przyjechali kierowcy, którzy ten rekord ustanowili.

## **Archeologia przemysłowa**

Piotr Pluskowski z Cieszyńskiego Stowarzyszenia Auto Weteranów też jest jednym z wolontariuszy na barce. W czasie tegorocznej konferencji Międzynarodowego Warsztatu Archeologii Przemysłowej przedstawił historię traktorków SAM, zwanych także unochodami. Dotarł do budowniczych tych maszyn, opisał ich historię – kilku domorosłych konstruktorów zbudowało własnoręcznie ponad dwa tysiące takich pojazdów. „Unochody” pracują na całym pogórzcu do dziś. Masowo produkowane ursusy często wywracały się już przy nachyleniu trzydziestu stopni i przygniatały śmiertelnie traktorzystów, a w górach ludzie też musieli zwieźć z pola siano i drewno z lasu. Nikt nie chciał przy tej pracy ryzykować życia. Ale państwo nie było zainteresowane masową produkcją niewyrotnych SAM-ów dla rolnictwa górskiego, bo górskie tereny uprawowe zajmują zaledwie trzy procent kraju. Rolnicy musieli radzić sobie sami.

– Skończyłem Studium Podyplomowe Archeologii Przemysłowej u profesora Januszewskiego i zostałem w Muzeum. Dzięki pracy tutaj mogę oglądać to, co

niedostępne dla innych: urządzenia hydrotechniczne, zabytkowe maszynownie statków, całą ukrytą infrastrukturę. I ciągle poszerzam swoją wiedzę z dziedziny motoryzacji – mówi Piotr Pluskowski.

## **Wolontariusz dla dziedzictwa**

Adam Gawlik przyłączył się do FOMT w maju tego roku na trasie rejsu „Ireny” w Bytomiu Odrzańskim. Podczas Warsztatu Archeologii Przemysłowej pokazywał swoje miniaturowe pływające jednostki.

– Prezentowaliśmy nasz dorobek: roboty i automaty, które wykonujemy w naszej pracowni; daliśmy też pokaz modeli pływających. Na co dzień prowadzę własną fundację, która skupia się na propagowaniu modelarstwa oraz dziedzin pokrewnych: historii, elektroniki, informatyki – po to, by uczestnik naszych zajęć w przyszłości został dobrze wyedukowanym konstruktorem. Dzięki wolontariatowi spełniam się jako instruktor, a moje hobby staje się inspiracją dla innych osób – twierdzi Adam Gawlik.

Latем Adam wziął udział w letnim kursie wolontariatu FOMT na barce, dofinansowanym w ramach programu Narodowego Instytutu Dziedzictwa – *Wolontariat dla dziedzictwa*. Przez dwa tygodnie wolontariusze dowiadywali się, czym jest archeologia przemysłowa, jak ewidencjonować i archiwizować dokumenty materialnego i niematerialnego dziedzictwa kultury technicznej, jak promować postindustrialne dziedzictwo. W programie znalazło się też wprowadzenie do warsztatu konserwacji zabytków i kurs motorowodny. (Wszyscy uczestnicy zdali egzamin). Wiele zajęć odbyło się w terenie Wrocławia i całego Dolnego Śląska – wolontariusze zwiedzali zabytkowe sztolnie, dworce, zamki i kopalnie.

– Podczas warsztatów nauczyłem się szerszego spojrzenia na rzeczywistość. Zacząłem dostrzegać w każdym przedmiocie pasję, którą ktoś włożył, by dana rzecz mogła powstać. Dziś wiem już, że niemal każda rzecz może okazać się wartym uwagi eksponatem – opowiada Adam Gawlik.

## **Dziennik pokładowy**

Profesor Januszewski i kapitan Balcerkiewicz płynęli „Ireną” przez trzy tygodnie maja 2017 roku. Wolontariusze się zmieniali, jedni wsiadali, inni wysiadali, płynęli tylko kawałek – na rejsie było ich wielu. Pewnego wieczora dzieci jednego z wolontariuszy uruchomiły komputer z lat osiemdziesiątych – okazało się, że działa.

W jednym z miast, które mijala „Irena”, Zdzisław Maj, dziś pszczelarz, a niegdyś mechanik na pchaczach i barkach, przyniósł piłę do cięcia lodu wokół barki i ostatni dziennik pokładowy ze statku, na którym pływał do 1988 roku. Oba dary trafiły do Muzeum.

W Nowej Soli przez pokład „Ireny” przewinęło się prawie półtora tysiąca dzieciaków. Wolontariusze nie mieli chwili wytchnienia, wpuszczanie zwiedzających na pokład ze względów bezpieczeństwa wymaga ciągłej pracy dziesięciu osób.

Przez trzy tygodnie rejsu przez trap przeszło łącznie ponad jedenaście tysięcy zwiedzających.

Nad pokładem unosiło się pytanie o przyszłość rzeki. Odra, od lat nieregulowana, niepogłębiana, zarasta, dziczeje, wypłyca się. Żeglugę na Odrze zlikwidowano w roku 2000. Ruchome wyposażenie portów rzecznych sprzedano na Zachód za bezcen, część na złom, a to, co zostało, rozkradziono. Porty niszczeją.

– Od lat się niby o tym dyskutuje, jak wrócić do żeglugi na rzekach, ale polskie śródlądzie grzęźnie w falach słów, tonie – uważa profesor Januszewski.

Podczas rejsu barka kilka razy staje na mieliźnie.

Profesor jest zdania, że lobby samochodowe i kolejowe jest mocne. Choć transport rzeczny to najbardziej ze wszystkich ekonomiczny i ekologiczny rodzaj transportu, nikt nie jest zainteresowany jego przywróceniem i rewitalizacją infrastruktury.

– Turystyczny i rekreacyjny ersatz nie wpisze Odry w organizm ekonomiczny Europy, podobnie jak propagowana przez ekomaniaków żegluga kajakowa na trasie Koźle–Berlin. To, co widzimy – wyremontowane nabrzeża w miastach i nowoczesne mariny – to tylko wspaniała fasada, kryjąca martwą rzekę.

Przed nieczynnym portem w Malczycach barka kolejny raz osiadła na mieliźnie. Trzeba było czekać kilka godzin, aż na stopniu wodnym w Brzegu Dolnym spuszczą wodę i poziom Odry podniesie się na tyle, by „Irena” mogła wrócić do Wrocławia, na Wybrzeże Wyspiańskiego, do górnego awanportu Szczytnik.







# Ora et labora

Andrzej Muszyński

## NGO

Fundacja „Chronić Dobro”

”

Obóz dla wolontariuszy w opactwie  
Benedyktynów w Tyńcu

*Dziedzictwo żywe* – obóz wolontariacki  
w opactwie Benedyktynów w Tyńcu



Kraków, Tyniec



Na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej warto wspiąć się wieczorem na skałę. Zwykle osłepiająco białe iglice wieczorem płoną w poświacie zachodzącego słońca. Ostatni wspinacze buchtują liny i znikają w gęstwinie u podnóża ostańców.

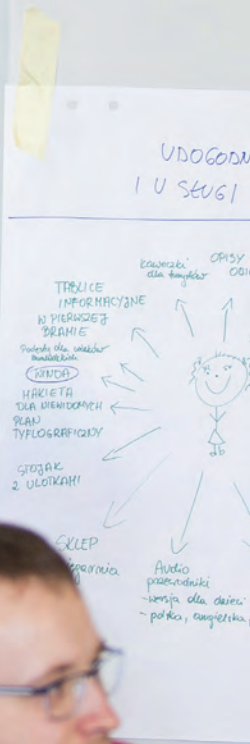
Najstarsi mieszkańcy tych ziem chronili się w pobliskich jaskiniach, choćby w Jaskini Ciemnej w Dolinie Prądnika. Z jej wylotu było widać dno doliny kilkadziesiąt metrów niżej. Skały czyszczą dźwięki, zwielokrotniają echa. Było stamtąd wyraźnie słyhać, gdy zbliżał się mamut. Później, gdy technika pozwoliła wznosić pierwsze budynki mieszkalne i warownie, ludzie znów docenili okoliczne urwiska. Grody powstawały na nich jeszcze przed czasami pierwszych Piastów. Potem największe z nich, zbudowane głównie przez Kazimierza Wielkiego, nazwano Orlimi Gniazdami.

Wapienne iglice wyostrzają pejzaż od Częstochowy po Wisłę. Jedną z ostatnich skał na południu Jury Krakowsko-Częstochowskiej znajduje się na wzgórzu tynieckim, skąd roztacza się widok na Wisłę, a w oddali – na Beskidy z wałem Babiej Góry. Tyniec leży blisko Krakowa, który we wczesnym średniowieczu wyrósł na ważny gród na przecięciu szlaków handlowych. Zbocze ma wystawę południową. Nagrzane stoki stwarzały idealne warunki do uprawy winorośli i sadownictwa. Topografia terenu zwiększała poczucie bezpieczeństwa. Tutaj w połowie XI wieku osiedli pierwsi benedyktyni. Sprowadził ich z Francji do Polski najprawdopodobniej Kazimierz Odnowiciel, ale dopiero kilkadziesiąt lat później Bolesław Śmiały osadził ich na wzgórzu tynieckim. Reguła benedyktynów zachęca do tego, by związać się z jednym miejscem na całe życie, ukorzenie. W Tyńcu znajduje się najstarsze opactwo w Polsce. Dziś mieszka w nim około czterdziestu zakonników.

Jak przed tysiącem lat wieczorem ze wzgórza niesie się śpiew chóru gregoriańskiego. Turyści już dawno wyjechali. Prócz benedyktynów została na dziedzińcu grupa młodych ludzi.

## **Skarby ze strychu**

Wolontariusze programu *Wolontariat dla dziedzictwa* w czasie pierwszej edycji warsztatów organizowanych przez Fundację „Chronić Dobro” zostali zaprowadzeni tam, gdzie nie docierają turyści – na klasztorny strych. Strychy, nasze wzgardzone dziedzictwo, nawet w zwykłych domach potrafią skrywać bezcenne zabytki, które ożywiają przeszłość. A strychy w tysiącletnich klasztorach? Uczestnicy warsztatów znaleźli tam rozczłonkowane figurki. Zaczęli inwentaryzację. To żmudna praca,



nawet dla zakonników, którzy nie mogą zajmować się takimi czynnościami, nie będąc konserwatorami. Wolontariusze wykonywali prace pomocnicze pod okiem fachowców. Osiemnastu ochotnikom zajęło tydzień posegregowanie zalegających na strychu przedmiotów z epoki baroku, które trafiły do pracowni konserwatorskiej w Krakowie i wkrótce wrócić na swoje miejsce: na ściany klasztoru. Zadanie nie było łatwe, bo każdy element wymagał starannego, profesjonalnego opisu.

– Wyjeżdżaliśmy z Tyńca z przekonaniem, że nasza praca na coś się przydała. Mieliśmy okazję spotkać się z osobą odpowiedzialną za całość konserwacji w obiekcie, a więc dokładnie widzieliśmy, jak to wygląda w praktyce: co można zrobić, a czego nie wolno – opowiada Rita Twardziak, wolontariuszka, historyk sztuki z Warszawy, która przyjechała do Tyńca z grupą znajomych. Zgłosili się po przeczytaniu ogłoszenia o naborze na profilu facebookowym klasztoru.

Wolontariusze wykonali jeszcze jedną pracę pomocniczą: oczyścili mur okalający klasztor w okolicy browaru, ucząc się, jak odróżnić elementy historyczne od późniejszych. Ich zadaniem było usuwać te drugie i przygotować grunt pod właściwą akcją konserwatorską.

Marta Sztwiertnia, historyk sztuki, absolwentka studiów podyplomowych w Akademii Dziedzictwa, pracownik fundacji z siedzibą w opactwie tynieckim, odpowiada często na pytania: po co to wszystko? Po co poświęcać miesiące, by uratować figurki sprzed kilkuset lat? Po co koncentrować się na minionym i nie pozwolić mu odejść? Na te pytania wolontariusze mogli znaleźć odpowiedź w trakcie drugiej edycji warsztatów w Tyńcu pod nazwą *Dziedzictwo żywe*.

– Tytuł obozu był nieprzypadkowy – wyjaśnia Marta Sztwiertnia. – Zależało nam na pokazaniu, że dziedzictwo to nie tylko stare mury, ale przede wszystkim dialog historii ze współczesnością.

– Dla mnie największym walorem warsztatów w programie *Wolontariat dla dziedzictwa* była interdyscyplinarność. Zajęcia pomogły nam spojrzeć poza horyzont swoich specjalizacji. Grupę tworzyli ludzie o rozmaitych zainteresowaniach, to bardzo wzbogaca. Byliśmy prawdziwym obozem wolontariackim – wspomina Rita Twardziak.

## **Ambasadorzy idei**

Nasza historia, miejsce na mapie świata, zniszczenia wojenne sprawiły, że ocaliliśmy mniej zabytków niż Włosi, Niemcy czy Francuzi. Troska o dziedzictwo jest w istocie dbaniem o estetykę przestrzeni, wzmacnianie poczucia ładu.



– Wystarczy wyjechać do naszych sąsiadów na Zachodzie czy do Norwegii. Tam oczy odpoczywają. Billboardy nie przysłaniają przyrody. W takim pejzażu zabytki i ich nowe funkcje są lepiej wyeksponowane – tłumaczy Marta Sztwiertnia i dodaje: – Dziś, w kulcie nowości, trudno wytłumaczyć, że stare jest cenne. Te warsztaty służą temu, by umieć o tym mówić. Wolontariusze to ambasadorzy pewnej idei.

Organizatorzy podczas drugiej edycji warsztatów skoncentrowanych na promowaniu dziedzictwa uczyli wolontariuszy, jak oczyścić zabytki i samo pojęcie dziedzictwa z nadmiaru patosu. Piotr Knaś z Małopolskiego Instytutu Kultury prowadził szkolenie z zakresu badań odbiorców oferty kulturalnej. Piotr Idziak ćwiczył z uczestnikami metodę interpretacji dziedzictwa. Katarzyna Zarzycka i Barbara Łepkowska z Fundacji „Plenerownia” przeszkoliły wolontariuszy z pisania tekstów popularyzacyjnych o dziedzictwie oraz z promocji miejsc zabytkowych. Wolontariusze dowiedzieli się, jak dużą rolę w zarażaniu innych zdrową postawą wobec dziedzictwa odgrywają przewodnicy turystyczni.

– Schodzimy z ogółu do szczegółu – dynamiczny męski głos dobiega z sali wykładowej. Prowadzący w interaktywnej grze z uczestnikami przekonuje, jak ważna jest odpowiednia narracja, opowieść o codzienności, odwołanie do zmy-



słów. – Czy wiecie, co odpowiedział jeden z turystów na pytanie, co zmieniło się według niego od czasów komunizmu? Zapach w tramwaju. Ludzie czytają świat przez wzrok, dotyk, węch.

## **Dumny dziedzic**

Zabytki są atrakcją turystyczną, a z pozoru martwe obiekty napędzają ruch, emanują energią na całą okolicę.

– Dziedzictwo nie może istnieć bez dziedzica. Żadne odgórnie narzucone prawo nie zagwarantuje takiej skuteczności w opiece nad zabytkami jak przekonanie społeczne, że należy je chronić i o nie dbać – tłumaczy Marta Sztwiertnia.

Na pierwszych warsztatach wolontariusze testowali grę edukacyjną, którą zobowiązali się zrealizować w swoich środowiskach. W czasie prac nad nią zgłosili uwagi do jej kilku elementów i ulepszyli ją. Rita Twardziak i jej przyjaciółka w ramach eksperymentu poprowadziły zabawę w liceum w Warszawie w dwóch klasach: przyrodniczej i humanistycznej z rozszerzoną historią sztuki. Okazało się, że gra oparta na elastycznej formule i koncepcji zagadek sprawdziła się w obu klasach. Uczestnicy drugiej edycji warsztatów chcieli zrealizować konkretny cel na miejscu: ulepszyć komunikację opactwa z sąsiadami. Mieszkańcy często nie zdają sobie sprawy z potencjału, jaki niesie bliskość takich miejsc. Warsztaty fun-





dacji służą temu, by im to uświadomić i wzbudzić w nich poczucie dumy. Wolontariusze, z pomocą ekspertów, przygotowali specjalne foldery (w nakładzie dwóch tysiącach egzemplarzy), które rozdali w najbliższej okolicy.

W ciągu dnia wolontariusze pracowali też intensywnie z turystami, przeprowadzając z nimi wywiady, by wysłuchać ich sugestii dotyczących oferty klasztoru. Goście zaprzeczali stereotypowi ponurego Polaka – niezwykle chętnie godzili się na rozmowy, często sami podchodzili do wolontariuszy i zgłaszali swoją gotowość do rozmowy. Na koniec wolontariusze wspólnie przygotowali dla klasztoru specjalny raport na podstawie ankiet i swoich obserwacji.

Jedną z wolontariuszek drugiej edycji warsztatów była Patrycja Waškowiak, historyk sztuki z Poznania, specjalizująca się w architekturze romańskiej, emanująca dumą z polskiego dziedzictwa.

– Uwielbiam program *Wolontariat dla dziedzictwa*, bo on pozwala mi pobyć dłużej w tak fantastycznych miejscach jak Tyniec. My łączymy tu zdobywanie wiedzy o popularyzacji dziedzictwa z odpoczynkiem. Warsztaty uświadamiają wolontariuszom, jaki potencjał tkwi w polskim dziedzictwie. Nie mamy się czego wstydzić. Ale należy pamiętać, że mamy trudną historię, wojny dokonały wielu zniszczeń i nasze zabytki wymagają szczególnej opieki – opowiada, śpiesząc się na kolejne wykłady na warsztatach.

## Historia i współczesność

Opactwo w Tyńcu, od 2017 roku jeden z pomników historii w kraju, jest przykładem szacunku dla przeszłości i przyszłości. Łączy te dwa na pozór nieprzystające do siebie okresy. Benedyktyni szczególnie dbają o to, by szanować wszystkich gości. Dziedziniec w letnim sezonie jest pełen turystów. Z obiektów klasztoru mogą korzystać też firmy, które organizują tu dla swoich pracowników spotkania. Można także zostać na noc w wynajętym pokoju, by podczas dłuższego pobytu się wyciszyć. Klasztor służy ludziom, którzy chcą odetchnąć i poszukują miejsc przepięknych spokojem. Nowoczesne ekrany na ścianach, przeszklone drzwi budynku dawnej biblioteki nie ujmują opactwu powagi. *Ora et labora* – „Módl się i pracuj” – oto dewiza benedyktynów, którą promuje od lat, bez krzty patosu, ojciec Leon Knabit. Tam, gdzie się pojawia, od razu zbiera się grupa ludzi.

– On jest jak hotspot! – śmieje się Patrycja Waškowiak.





# Detailove

Julia Lachowicz

## NGO

Centrum Inicjatyw na Rzecz Rozwoju „REGIO”



Łódzki detal. Baza detalu architektonicznego  
Łodzi. Cz. I, cykl obozów wolontariackich  
i promocja rezultatów projektu



Łódź



To było olśnienie. Wydarzyło się na Starym Polesiu, w jednej z tych „gorszych” dzielnic Łodzi, mających nie najlepszą opinię nawet wśród mieszkańców. Maria Nowakowska, kulturoznawczyni, aktywistka społeczna i łodzianka od pięciu pokoleń, chciała to miejsce odczarować. Wraz z gronem aktywistów skupionych wokół Współdzielni Staropoleskiej szukała pomysłu, jak przekonać mieszkańców, że to dzielnica z potencjałem. W chwili olśnienia spojrzała w górę i zobaczyła to: detal na brudnoszarej kamienicy przy ulicy Legionów 20. Przechodziła koło niej setki razy, ale dopiero teraz zauważyła ściany pokryte płaskorzeźbami z głową Ateny ozdobioną majestatyczną sową. Dziś już nie pamięta, czy zauważyła też piękne dekoracyjne pasy na dole kamienicy i inne zdobienia. Na pewno nie wiedziała wtedy jeszcze, że kamienica ta należała do Andrzeja Jeżewskiego i była jedną z nielicznych w XIX wieku reprezentacyjnych kamienic wzniesionych w Łodzi przez Polaków. Wie za to, że ten moment zmienił jej życie. A na pewno sposób patrzenia na miasto. Nagle łódzkie budynki, często w oplakany stanie, stały się źródłem zachwyty, kopalnią historii. Ożyły, bo każdy detal coś opowiadał o mieście, właścicielu czy czasach, w których powstał. Stały się też świetnym pomysłem na zaktywizowanie mieszkańców nie tylko Starego Polesia, lecz także całej Łodzi. Od tego czasu Maria Nowakowska podczas wycieczek, wykładów i obozów wolontariackich zaraża swoim bakcylem wszystkie pokolenia łodzian.

## **Arystokracja przemysłu**

– Żeby zrozumieć fenomen łódzkiego detalu, trzeba poznać początki miasta. Bo ono, przeciwnie do większości polskich metropolii, nie powstawało organicznie, rozwijając się i rosnąc przez wieki. Łódź, jaką znamy dziś, powstała nagle. Niektórzy mówią, że w stylu amerykańskim. Dosłownie w ciągu trzydziestu lat z osady zamieniła się w centrum przemysłowe – tłumaczy Maria Nowakowska. I opowiada, że na początku XIX wieku mieszkało tu niewiele ponad trzysta osób. Chociaż Łódź miała wtedy prawa miejskie – te dostała w 1423 roku – to była tak naprawdę niewielką osadą, w której królowały głównie drewniane domy. Wszystko zmieniło się w 1821 roku za sprawą Stanisława Staszica i Rajmunda Rembielińskiego, którzy Łódź zaliczyli do osad fabrycznych. Postanowili, że stworzą tu centrum przemysłu włókienniczego. Przedsiębiorców i rzemieślników z całej Europy zachęcali licznymi przywilejami: zwolnieniami z podatków, opłat celnych czy ze służby wojskowej, bezpłatnym drewnem do budowy, często

darmową ziemią i korzystnymi pożyczkami. Długo nie trzeba było czekać. Do Łodzi zaczęli przyjeżdżać ludzie z Niemiec, Czech, ze Śląska, ale też Francji czy Anglii. Zaplanowano ulice, budynki, rozkład miasta i to, w jaki sposób ma się rozrastać. Żeby docenić skalę rozwoju, najlepiej spojrzeć na liczby: w 1821 roku w Łodzi mieszkało 767 osób, w 1872 roku – 100 tysięcy, a w 1914 roku już ponad 500 tysięcy.

Pierwsze pokolenie przedsiębiorców przybyłych do Łodzi ciężko pracowało, dlatego mniej zajmowali się architekturą czy detalami na fasadach budynków, bardziej skupiali się na tworzeniu solidnych biznesów. Budowali fabryki i majątek, który przekazywali kolejnym pokoleniom. Często za zarobione pieniądze wysyłali swoje dzieci na najlepsze uniwersytety Europy. I to właśnie drugie pokolenie przedsiębiorców łódzkich zaczęło zatrudniać świetnych architektów, między innymi Juliusza Junga, Gustawa Landau-Gutentegera czy Dawida Landego. Ten pierwszy, lubiący klasyczne nawiązania, zasłynął między innymi z projektu pałacu Poznańskiego przy ulicy Ogrodowej. Lande uwielbiał za to dziwne połączenia, zaskakujące detale. To on w bramie przy Piotrkowskiej 56 umieścił na przykład ślimaki czy sfinksa wachającego kwiatek. Łódzcy architekci z wyuczuciem podążali za światowymi trendami w sztuce. I to na ich życie na przełomie XIX i XX wieku przypada największy rozkwit łódzkiego detalu. Detalu, który łączy to, co łódzkie, z tym, co światowe.

Jak tłumaczy Piotr Gryglewski, profesor historii sztuki Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź często mylnie jest odbierana jako miasto stworzone przez prostych dorobkiewiczów, robotników, nieznających się na sztuce przedsiębiorców. Fakt – nie było tu arystokracji, jaka mieszkała w Paryżu, Londynie czy Krakowie. Jednak dzięki świetnemu wykształceniu przedsiębiorców i ambicji dołączenia do europejskich elit w Łodzi powstała architektura ze światowej górnej półki. Między innymi wspomniany pałac Poznańskiego czy secesyjna willa Leopolda Kindermanna.

## **Lew z członkiem**

– Ciągle ktoś mnie pyta, czy w łódzkich detalach jest coś charakterystycznego – śmieje się Maria Nowakowska. – Oczywiście, że tak, bo Łódź to miasto wyjątkowe. Poza tym każde miasto ma swój detalowy charakter – szybko sama odpowiada. I rzuca przykładami. – Przede wszystkim nawiązania do przemysłu. Weźmy taką kamienicę przy ulicy Piotrkowskiej 143 i przyjrzyjmy się kartuszo-  
wi nad bramą. W kartuszach zazwyczaj umieszczano herby arystokratyczne,



pełne symboliki odnoszącej się do rodowej heraldyki, nawiązań do przeszłości, wielowiekowych tradycji rodzinnych. Jako że łódzką „arystokrację” tworzyli przedsiębiorcy, kupcy, architekci czy właściciele firm budowlanych, adaptowali oni tradycyjne detale na swoje potrzeby. Mieszali konwencje, bawili się symboliką. I tak na kartuszu nad bramą przy Piotrkowskiej 143 zobaczymy dwie maski lwów, które w pyskach trzymają członka tkackie – tłumaczy. Połączenie wielowiekowej tradycji – w tym przypadku symbolu lwów i narzędzi pracy (tu członka tkackiego) – to charakterystyczny łódzki motyw. Wariacje na temat pracy włókienniczej i potęgi przemysłu można zobaczyć na wielu kamienicach. Na przykład przy ulicy Tuwima 3, gdzie ułożonym w trójkąt członkom tkackim towarzyszą dwa stojące na tylnych łapach lwy symbolizujące potęgę i majestat. Nad całością umieszczono jeszcze koronę. Typowe są też przedstawienia Hermesa, skrzydlatego boga kupców. I Industrii, wymyślonej w XIX wieku bogini przemysłu. I dużo różnych zwierząt.

Maria Nowakowska przykładów może dawać bez końca. Na pamięć zna niemal wszystkie łódzkie kamienice.

– Detalowe szaleństwo mną zawładnęło – wyznaje. Do tego stopnia, że kupiła plan miasta i ulica po ulicy zaczęła dokumentować wszystkie fasady (klatkami schodowymi i podwórzami się nie zajmuje). Łącznie wykonała ponad trzystaście





tysięcy zdjęć. Po drodze zakochała się w porcelanowych Egipcjankach z rogu ulicy Jaracza 9 i Wschodniej 55 (do dziś nie ma pojęcia, skąd się w Łodzi wzięły), uśmiechnęła się na widok hybrydy nietoperza z kotem przy ulicy Narutowicza 32 i godzinami zastanawiała się, co w rękę trzyma jeden z atlasów przy Narutowicza 45, żeby dojść do wniosku, że jest to po prostu śmigło.

## Operacja na detalu

Samo dokumentowanie detali i szukanie ich znaczenia i historii jednak jej nie wystarczało. Maria Nowakowska chciała podzielić się tą wiedzą z innymi, bo przecież o to na samym początku chodziło. Detale miały aktywizować łodzian. Tchnąć ducha w Łódź. Przekonać, że z tego szarego, przemysłowego miasta można być dumnym. Przygotowała więc trasy detalowe po Łodzi i zaczęła oprowadzać zainteresowanych mieszkańców. Okazało się to strzałem w dziesiątkę, bo w swoich opowieściach nie ogranicza się do metryczek kamienic i informacji, co się na nich znajduje. Snuje opowieści o symbolice zwierząt, o nawiązaniach antycznych, o łódzkich dziwnostkach. Prowadzi też „wycieczki wyobrażone”, podczas których miesza to, co prawdziwe, z tym, co fantastyczne i wymyślone, pozwala sobie i słuchaczom puścić wodze fantazji. Ponieważ zainteresowanie rosło, coraz więcej osób samo chciało dokumentować miasto, pomyślała o obozach dla wolontariuszy, w których trakcie chętni nauczą się, jak na detale patrzeć, dowiedzą się o historii łódzkiego detalu, ale też sami będą je dokumentować i wykonają opisy, które przekażą konserwatorowi zabytków. Z pomocą w organizacji tych obozów przyszedł Narodowy Instytut Dziedzictwa i grant na wolontariaty dla dziedzictwa. Pierwszy z trzech obozów odbył się w połowie lipca 2017 roku.

Wśród uczestników znalazła się Aleksandra Papiernik. Gdy dowiedziała się o wolontariacie, nie miała wątpliwości, że musi w nim wziąć udział, bo detalem zajmuje się od zawsze. Jest konserwatorem sztuki.

– To właśnie dla pięknych łódzkich detali przeniosłam się z Krakowa do Łodzi – opowiada.

Pracę zaczęła od przepięknej kamienicy przy Piotrkowskiej 107 i na razie nie widzi końca. W jej pracowni w tak zwanych siódmkach (czyli przy ulicy Piotrkowskiej 77) piętrzą się gipsowe kolumny i płaskorzeźby, połączone ramy, drewniane okiennice do renowacji. Niby już wszystko o detalu wiedziała przed obozem, ale chciała poznać lepiej Łódź. Posłuchać o historii, charakterystyce architektury, przyjrzeć się z bliska kamienicom, nad którymi nie pracowała, a obok



których codziennie przechodzi. Szczególnie że podczas pierwszego obozu wolontariusze dokumentowali detale słynnej Piotrkowskiej. Po czterech dniach słuchania wykładów, robienia zdjęć i ich opisywania Aleksandra Papiernik pokochała Łódź jeszcze bardziej.

– Co mi dał detal? No na przykład to, że budzę się o czwartej nad ranem i czytam o kolejnych znaleziskach. Konserwator zabytków inaczej patrzy na detale, które odnawia. To, co one przedstawiają, symbolizują, odchodzi na drugi plan. Najważniejsze jest dobranie technologii, najwierniejsze odtworzenie brakujących elementów. Odkrywanie kolejnych szczegółów pod warstwą farby, patyny czy brudu jest jak operacja. Choć pacjent nie oddycha, to wciąż ręce się trzęsą, gdy tnę „skalpelem”, bo teraz już wiem, że od tego zależy, czy później ten detal będzie można dobrze odczytać. Że będziemy pewni, czy był to lew czy żaba. Że Maria będzie mogła opowiedzieć nam kolejną fascynującą historię. Obozy dały mi też sporo wiedzy technicznej, jak prawidłowo fotografować budynki i jak je opisywać – tłumaczy Aleksandra Papiernik, która po tym, jak zobaczyła, ile jest jeszcze wspaniałych detali do odrestaurowania w tym mieście, chyba nieprędko wróci do Krakowa.

Gdy słucha się opowieści Aleksandry Papiernik, to dziwi, że Maria przed pierwszym obozem miała pietra, czy uda się jej przekazać bakcyła innym. A jednak nie przespała przez to kilka nocy. Czy to w ogóle zaskoczy?



– Teraz już wiem, że obawy były niepotrzebne. Gdy zobaczyłam dwie dziewczyny, które w sobotę po ośmiu godzinach opisywania detali wyszły na ulicę i zaczęły rozmawiać o osiach budynków, pokazywać sobie woluty i sterczyny i dyskutować o boniowaniu, wiedziałam, że te obozy mają głębszy sens. Dokładnie o to podniesienie głowy do góry mi chodziło – mówi.

## Gdańska w Łodzi

Podczas drugiego obozu uczestnicy ruszyli na ulicę Gdańską na Starym Pole-siu. Pogoda nie sprzyjała. Zimno, szaro i lało. Pokusa, by zostać w domu, była duża. Jednak dwudziestu śmiałków zgłosiło się w sobotę rano przy Piotrkowskiej 56 w pięknej i bardzo bogato dekorowanej kamienicy z 1912 roku zaprojektowanej przez Dawida Landego. Gotowi, by zacząć dokumentację, musieli najpierw poznać główne zasady robienia zdjęć detalom: po pierwsze, zawsze trzeba zrobić zdjęcie tabliczki z adresem, po drugie, dokumentować najpierw całe fasady, a dopiero potem dokładniej detale, i pamiętać, żeby robić zdjęcia budynkom z każdej strony. Reszta podobno wychodzi w praniu. Po godzinie uzbrojeni w lustrzanki, parasole i peleryny ruszyli w stronę Gdańskiej. Jakie mieli motywacje, by dołączyć do obozu?

Bożena Szczęsna:

– Powinam być na emeryturze, ale mam nadzieję, że tak naprawdę nigdy na niej nie będę. Jestem aktywna, szukam pomysłów na fajne spędzanie czasu, kocham architekturę i stąd ten obóz. A poza tym może czasem w towarzystwie błysnę jakąś detalową historią?

Aleksandra Preczyńska:

– Wszyscy mówią, że Łódź jest brzydka, przemysłowa, nic ciekawego. Jednak wiem, że by docenić piękno, trzeba się wgryźć. Poznać historię, spojrzeć głębiej. Z wykształcenia jestem ekonomistką. Pracuję w dużej firmie. Po godzinach studiuję historię sztuki. Uwielbiam sztukę, architekturę i Łódź. A ten obóz łączy te rzeczy.

Elżbieta Jerzmaniowska:

– Mieszkałam przy Gdańskiej 106 przez większość życia. W pięknej, choć zrujnowanej kamienicy. Poznałam jej historię i wtedy zaczęłam się interesować kamienicami łódzkimi. Zorientowałam się przy okazji, że codziennie chodzę Gdańską, ale nic nie wiem o innych budynkach. Nawet nie zauważam, jaka ona jest wyjątkowa. Więc jak usłyszałam, że na obozie będzie na warsztat brana ulica Gdańska, to nie zastanawiałam się dwa razy.

Anna Helena Służewska:

– Studiuję architekturę, zastanawiam się nad konserwacją zabytków, więc zdobywam doświadczenie. Poza tym podoba mi się, że ten obóz łączy to, co przyjemne, z tym, co praktyczne, i jeszcze jest pożyteczny. Bo konserwator ma dokumentację z lat dziewięćdziesiątych. Te zdjęcia i opisy na pewno się mu przydadzą.

Mateusz Świątek:

– Bo kocham Łódź.

## **Trening uważności**

W niedzielę o godzinie osiemnastej po ponad trzynastu godzinach opisywania zdjęć wszystko jest gotowe. Drugi obóz można uznać za zamknięty i udany. Ale to nie koniec detalowego szaleństwa. Za kilka tygodni na Piotrkowską 56 przybędzie kolejna grupa wolontariuszy. Będą pomagać w przygotowaniach do festiwalu detalu architektonicznego #detailfest.

– Ten festiwal będzie zwieńczeniem naszej wolontariackiej działalności.



W październikowy weekend będzie można wziąć udział w spacerach inscenizowanych, warsztatach (w tym sztukatorskich i sgraffita), grach miejskich, wystawach czy detalowych wykładach gości z całej Polski.

Wiem, że to brzmi jak szaleństwo. Że dużo się dzieje. Ale na szczęście detal nauczył mnie też zwalniania. Uważności, docenienia tego, co znajduje się wokół. Chcę tę umiejętność przekazać innym – mówi Maria Nowakowska. Bo dzięki detalom można patrzeć wyżej, dalej i dokładniej. Na spokojnie chłonąć tu i teraz. – To moja odpowiedź na tak popularny teraz mindfulness. Najlepszy, bo darmowy i dostępny dla wszystkich. Wystarczy tylko wyjść z domu i podnieść głowę do góry.





# Niezatarty ślad

Joanna Mikulska

## NGO

Fundacja Dziedzictwa Kulturowego



Porządkowanie cmentarza żydowskiego przy  
ul. Okopowej w Warszawie wraz  
z warsztatami edukacyjnymi

Porządkowanie cmentarza tatarskiego  
w Studziance oraz organizacja warsztatów  
edukacyjnych z epigrafiki arabskiej



Warszawa, Studzianka





Zasad jest wiele. Przypomnimy te najważniejsze. Po pierwsze, usuwamy to, co leży na ziemi. Chodzi o to, aby był widok. Żeby w ogóle było coś widać. Po drugie, nie wycinamy, tylko wrywamy, bo jak się wytnie, to odrośnie. Najczęściej w tym samym miejscu. Po trzecie, nie przesuwamy kamieni i nie zajmujemy się ich czyszczeniem. Usuwamy jedynie samosiejki: małe drzewka, krzewinki, bluszcze, chwasty i trawy. Do dyspozycji są: grabki, sekatory, nożyce, przycinaki, łopaty, siekiery, rękawiczki i środki przeciw komarom i kleszczom. Wrywamy, kładziemy na kupki, wywozimy lub palimy poza terenem cmentarza. I ostatnia zasada: robimy, co możemy i ile możemy. Jesteśmy tu z własnej woli i realizujemy wspólny cel.

## **Zdradzieckie klony**

– Kiedyś nie było tutaj tych wszystkich klonów – tłumaczy Ola, spacerując między macewami i drzewami. – Trudno sobie wyobrazić tę pustkę, dlatego często pokazuję wolontariuszom jedno ze zdjęć cmentarza żydowskiego z lat czterdziestych, aby wiedzieli, że miejsce, w którym są, naprawdę może inaczej wyglądać.

Ola Waszak skończyła właśnie studia na Wydziale „Artes Liberales” na Uniwersytecie Warszawskim. Obroniła pracę magisterską na temat propagandy tak zwanego Państwa Islamskiego. W ramach współpracy z Fundacją Dziedzictwa Kulturowego sprząta cmentarz żydowski na warszawskiej Woli już trzeci rok. Zaczynała jako wolontariuszka, a teraz jest koordynatorką obozów wolontariackich.

– Przystańmy na chwilę, to chyba ceremonia pogrzebowa – zauważa Ola.

Słychać cichy głos rabina odmawiającego modlitwę. Kilkanaście osób podąża za drewnianą trumną i znika pomiędzy macewami w jednej z wąskich ścieżek odchodzących od głównej alei.

Cmentarz żydowski na warszawskiej Woli to jedyna czynna nekropolia żydowska w stolicy. To 33,5 hektara lasu klonowego, w którego korzeniach znajdują się żydowskie nagrobki. Najstarszy pochodzi z 1807 roku. Wszystkich jest tu około 200 tysięcy. Przy głównej, reprezentacyjnej alei ciągnącej się równoległe do ulicy Okopowej w kilku miejscach trwają prace konserwatorskie. Spacerując, możemy przyjrzeć się między innymi nagrobkom Ester Kamińskiej, Marka Edelmana, Ludwika Zamenhofs i innych twórców życia kulturalno-społecznego i naukowego Warszawy. Jednak prawdziwa przygoda zaczyna się wtedy, gdy



skręcimy w którąś ze ścieżek biegnących prostopadłe do głównej alei. Nie ma w zasadzie znaczenia, którą drogę wybierzemy. Z każdym krokiem oddalającym nas od bramy głównej ściana drzew staje się gęstsza, warstwa liści na ziemi robi się grubsza i bardziej miękka, a macewy bardziej schylają się ku ziemi przykryte pęczniejącymi mchami i porostami. W niektórych momentach w ogóle tracimy je z oczu. Tymczasem to, co obserwujemy, to tylko powierzchnia. Do lat trzydziestych XX wieku z powodu braku miejsca na cmentarzu, a także w zgodzie z zasadą nienaruszalności grobu, która w tradycji żydowskiej jest szczególnie istotna, na cmentarzu stosowano metodę nasypów. Ponieważ nagrobków nie można rozkopywać, ani też zlikwidować, groby starsze niż pięćdziesiąt lat przysypywano metrową warstwą ziemi. Jak dotąd dokonano czternaście takich nasypów.

W okresie międzywojennym cmentarz otoczono wysokim murem. Od południa graniczy z cmentarzem ewangelickim, od zachodu – z katolickimi Powązkami. Od wschodu z zagłębieniem małych warsztatów samochodowych, a od zachodu z dwujezdniową i trójpasmową ulicą Okopową. Niedaleko stąd też do „Arkadii”. Wystarczy wyjść przez wąską bramę, wsiąść w autobus i za dwa przystanki będziemy w największym centrum handlowym w Warszawie.



## Obciach i niesprawiedliwość

– Wspiąłem się kiedyś na mur dzielący cmentarz żydowski i ewangelicki – tłumaczy Daniel, gdy wieczorem spacerujemy po parku. – Po ewangelickiej stronie zobaczyłem wypucowane alejki, poukładane kwiaty i świecące się znicze. A wystarczy obrócić głowę w drugą stronę, żeby dostrzec tam absolutny rozgardiasz: wszystko leży wszędzie i to leży już dość długo. Nie mam nic przeciwko ewangelikom, część mojej rodziny tam leży, ale jest to jakaś historyczna niesprawiedliwość i niewiarygodny obciach, że tak to wygląda.

Daniel Potkański jest harcerzem, informatykiem, jeszcze studentem, ale już pracującym. Obsługuje firmę turystyczną zajmującą się organizowaniem wycieczek kulinarnych. Współpracę z Fundacją Dziedzictwa Kulturowego rozpoczął cztery lata temu. Znajomy namówił go na wakacyjny wyjazd na Łotwę. Całe dni z mapą w ręku jeździli samochodami i szukali polskich cmentarzy. Po kilku dniach mieli już opracowaną metodę. Dojeżdżając do wsi lub miasteczka, gdy nie było kogo zapytać, szukali miejsc na uboczu, z niewielkim wzniesieniem. Tam, gdzie rosną wysokie, dostojne drzewa. Najlepiej otoczonych polem.

– Teraz, gdy wspominamy ten wyjazd, nazywamy go *necroholidays*. Z perspektywy czasu widzę, że to dobra nazwa dla naszych obozów – dodaje Michał Laszczkowski, prezes fundacji.



Daniel od trzech lat jest zaangażowany w sprzątanie cmentarza żydowskiego. Zaczynał podobnie jak Ola, jako wolontariusz. Teraz zajmuje się organizowaniem prac na miejscu.

– Główne zadanie koordynatora polega na tym, że musi być tym, kto wie, w którym kierunku zmierza grupa – wyjaśnia. – Na początku tygodnia decydujemy, którą kwaterę porządkujemy. Kolejność porządkowania ma duże znaczenie moralne. Dobrze jest, aby uczestnicy, którzy pracowali przez tydzień, mogli zobaczyć efekty swojej pracy. A ponadto trzeba wyczuć, który uczestnik przyszedł tutaj, aby pogadać, a który jest zafascynowany kulturą żydowską i chce ją sobie w samotności kontemplować. Trzeba te dwa temperamenty połączyć, a przy okazji tak to zrobić, aby obie te postacie brały udział w porządkowaniu ziemi.

Czy często w pracach uczestniczą Żydzi?

– Raz dołączył do nas Piotr, młody członek warszawskiej społeczności żydowskiej, który dowiedział się o nas ze strony internetowej swojej gminy wyznaniowej. Przyszedł w myce. Zwróciło to moją uwagę, bo my mamy dispensę. Jednym z ustaleń z dyrekcją cmentarza jest to, że nie musimy nosić nakryć głowy.

Plakaty informujące o wolontariacie na cmentarzu rozwieszano na warszawskich uczelniach wyższych oraz w miejscach spotkań społeczności żydowskiej. Wysłano informację do Centrum Wolontariatu Uniwersytetu Warszawskiego,

Muzeum Narodowego, Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. I do stałych wolontariuszy. W tym roku fundacja zorganizowała na cmentarzu żydowskim w Warszawie trzy tygodniowe obozy wolontariackie. W porządkowaniu cmentarza wzięło udział siedemdziesiąt osób.

## **Efektów nie da się policzyć**

– My nie tylko grzebiemy w ziemi – oburza się Helena, licealistka, którą na wolontariat przyprowadziła siostra. – Poznajemy historię cmentarza, kontekst przyczyny porządkowania go. Możemy też brać udział w dodatkowych organizowanych przez fundację spacerach i spotkaniach. Wiedza na temat historii i kultury poszerza się wtedy przy okazji. Jest to zupełnie inny sposób pracy niż w szkole, gdzie głównie siedzimy i się uczymy. Najbardziej podoba mi się dopieszczanie grobów, czyszczenie przed konserwacją. Mogę się wtedy przyrzyć nagrobkowi, który posprzątałam. Cała ta wiedza i atmosfera na cmentarzu oraz podczas wolontariatu, gdzie dużo rozmawiamy ze sobą, bardzo działa na wyobraźnię. Aby odkryć historię osób, które zostały pochowane, liczy się nie tylko data śmierci, lecz także rysunki i symbole umieszczone na macewie. Ważna jest wielkość nagrobka, stopień zdobienia oraz nawet to, w jakim on jest teraz stanie. Warto też sprawdzić, do kogo należą nagrobki wokół. Często pary są pochowane obok siebie. Pamiętam jedną, gdzie mężczyzna zginął w wypadku, a kobieta, jego żona, zmarła dzień później. Próbowaliśmy zgadnąć, co mogło im się stać.

– Pamiętam, jak któryś już dzień pracowaliśmy na tej samej kwaterze i zauważyliśmy, że turyści zaczęli tędy chodzić – wspomina Ola. – Ich ścieżka zaczęła się wydłużać, aż wreszcie mogli skrócić w lewo i obejść obszar, który porządkowaliśmy. To był fajny moment. Wszyscy poczuliśmy wtedy, że poza naszą naturalną satysfakcją z wprowadzenia porządku, mamy też realny wpływ na bieg rzeczy.

– Kulturowanie pamięci o dziedzictwie kręci mnie właściwie od gimnazjum, gdy natknęliśmy się z mamą na mały, poniemiecki cmentarz na Mazurach – wspomina Ela, absolwentka kulturoznawstwa na SWPS w Warszawie. Szuka pracy. Chwilowo zarabia na życie transkrypcją wywiadów do badań socjologicznych. – Całe dni spędzam ze słuchawkami przed komputerem. Pierwszego dnia wolontariat wyglądał bardziej jak karczowanie lasu niż sprzątanie cmentarza. Wszystko mnie bolało, a najbardziej plecy. Ale wróciłam. Frustruje mnie to,

że nie mogę znaleźć pracy. Działanie na cmentarzu pomaga mi rozładować złą energię, jest wymagające fizycznie, no i idzie wolniej, niż myślałam.

Helena dodaje, że przez 6 godzin pracy w 10 osób byli w stanie uporządkować pas długości około 10 metrów, szeroki na 3 metry. Liczę szybko w myślach – 30 metrów kwadratowych. Jeden hektar ma 10 tysięcy metrów kwadratowych. Na jeden hektar potrzeba 333 takich dni. Cały rok. A cmentarz ma przecież 33,5 hektara. Czy w takim razie ta praca ma w ogóle jakiś sens?

– Pewnie jeszcze moje wnuki będą go porządkować – komentuje Daniel.  
– Ale jeśli wymordowano trzy miliony obywateli i zginęły całe rodziny, to chyba nic dziwnego, że nie ma kto się nimi zajmować. Kiedyś myślałem, że każdy powinien się angażować, a jeśli tego nie robi, to jest złym człowiekiem. Teraz wiem, że po prostu robimy, co możemy.

– Cmentarzem zarządza Gmina Wyznaniowa Żydowska w Warszawie. To mała społeczność. Zaledwie sześciuset członków – tłumaczy Michał Laszczkowski. – Zrozumiałe jest, że władze gminy koncentrują się bardziej na prowadzeniu szkół, przedszkoli, gromadzeniu młodzieży żydowskiej wokół siebie. Natomiast cmentarz żydowski to miejsce bardzo ważne także dla nas, jako nasza polska spuścizna kulturowa. Po warszawskich Powązkach, krakowskich Rakowicach, lwowskim Łyczakowie i wileńskiej Rossie to właśnie cmentarz żydowski jest miejscem, gdzie jest pochowanych najwięcej osób zasłużonych dla polskiej kultury, nauki i życia publicznego. To jest polski cmentarz. A właściwie polsko-żydowski. To jest nasze wspólne dziedzictwo.

## **Izraelczyka poznasz po butach**

Po przekroczeniu bramy i wejściu na teren cmentarza w budynku obok możemy kupić cegielkę na rzecz jego odbudowy. Kosztuje 10 złotych. Nikt ode mnie tego nie wymaga, ani też nie sprawdza, czy kupiłam. Za bramą spotykam grupę zwiedzających. Pilnuje ich dwóch ochroniarzy z mikroportami. Przyglądają mi się długo i uważnie, ale nie zadają pytań. Pani z okienka spogląda na moją zdeorientowaną minę i mówi, że mogę iść. Cegielkę kupię dopiero za drugim razem.

– Możesz ich poznać po butach – wyjaśnia Ola. – Wszyscy mają takie australijskie sztyblety z jasnej skóry, które w Polsce kosztują siedem stów, a w Izraelu tylko trzy. – Ola też takie ma. Na początku roku wróciła z trzymiesięcznego stypendium w Tel Awiwie. – Doświadczenie tego, jak się widzi Polskę, mieszkając w Izraelu, jest bezcenne. Tam historia Holocaustu jest wałkowana na okrągło.



Byliśmy tym krajem, na terenie którego to się wszystko działo, i nie ucieknemy od tego. Tylko że jak się powie w Izraelu: „Niemcy”, to oni myślą „Niemcy, Berlin, impreza”, jak się powie „Polska”, to od razu: „Holocaust”. Prawie każdy był w Berlinie na imprezie, a do Polski jeździ się na cmentarz. Do Auschwitz. Jedzie się raz w liceum, z ochroną, nie poznaje się żadnych ludzi. Muzeum POLIN pokazuje, że mamy dużo wspólnego dziedzictwa kulturowo-historycznego. Gdybyśmy dbali o ten cmentarz, to też byłby dowód na to, że nam jednak zależy na pamiętaniu o nim i o tym, że ci Żydzi tu pochowani też byli przecież Polakami. Teraz należy podziękować tanim liniom lotniczym, które uruchomiły loty do Warszawy. Jak się w lecie wyjdzie nad Wisłę, to czasem słychać hebrajski. Bardzo się z tego cieszę, bo chciałabym, aby nam się kiedyś udało.

– Byłoby super, aby oni też mieli możliwość posprzątać te groby – dodaje Kinga. Cała jej rodzina pochowana jest na Powązkach. Gdy w 2012 roku runął mur ceglany rozdzielający dwa cmentarze, wykorzystała tę okazję i odwiedziła żydowski cmentarz. Rok później zgłosiła się na wolontariat. Podczas prac na cmentarzu podszedł do niej wtedy jeden z uczestników wycieczki z Izraela.

- Co wy tu robicie?
- Sprzątamy.
- Ale to wy jesteście Żydami?

- No nie, nie jesteśmy.
- Ale to jest wasza praca?
- Nie, robimy to wolontariacko.
- Ale, ale... dlaczego to robicie?!
- Hm. Bo ktoś musi.
- Ten cmentarz jest na tyle duży, że mam nadzieję, iż starczy okazji, aby doprowadzić do sytuacji, że będziemy go razem sprzątać – podsumowuje.

## **Dwie Studzianki**

– Jesteśmy w stanie zorganizować dowolny wolontariat na dowolnym cmentarzu. Staramy się jednak, aby nasze działania miały sens w dłuższej perspektywie. Zawsze działamy tam, gdzie uzyskamy zgodę właściciela, którym z reguły jest skarż państwa, czyli starosta. Po pięciu latach działań wiemy już, co nie ma sensu – tłumaczy Michał Laszczkowski. – Odkrzaczanie cmentarza na Ukrainie zajęło nam dwa lata, ale nie było stałego opiekuna i wszystko zarosło. Nie zajęła się nim lokalna społeczność, ani nie rozpoczęły się prace konserwatorskie przy odkrytych, cennych nagrobkach. Byliśmy sfrustrowani. Z naszych doświadczeń wynika, że działanie punktowe przedłuża tylko agonię takiego miejsca, zamiast je uratować. Jeśli chodzi o obozy wolontariackie, to jesteśmy teraz skoncentrowani na dwóch wyzwaniach. Po pierwsze, cmentarz żydowski w Warszawie na Woli, to projekt zakrojony na ogromną skalę, a po drugie, to cmentarz tatarski w Studziance, który nie był nigdy przebadany georadarem i nasze prace odkrzaczające pomogły zrealizować te badania. Liczymy w tym miejscu na nowe odkrycia.

Rozmawiamy w ciemnościach, w ogrodzie agroturystyki „U Kowala” w Studziance. Jesteśmy na Podlasiu, pół godziny drogi od Białej Podlaskiej. Nocują tutaj wszyscy uczestnicy obozu wolontariackiego porządkujący miejscowy cmentarz tatarski. Michał przyjechał tylko na chwilę. Następnego dnia rano musi być z powrotem w pracy w Warszawie. Działania fundacji to jego pasja i hobby.

Studziankę mam okazję obejrzeć dopiero następnego dnia. To niewielka wieś, mieszka tutaj 436 osób. Większość zabudowań rozrzuconych jest po tak zwanych koloniach, tylko część usytuowanych jest przy głównej, wyremontowanej w ubiegłym roku drodze do Łomaz. W centrum mamy sklep spożywczy, świetlicę, budynek zamkniętej od roku szkoły podstawowej i na końcu wsi cmentarz tatarski. Dopiero, gdy wyjdziemy z samochodu i pokręcimy się tu chwilę,



okazuje się, że Studzianka posiada też alternatywną rzeczywistość. Szkoła jest jednocześnie meczecikiem. Na tablicy informacyjnej przed budynkiem możemy przeczytać, że do 1915 roku stał w tym miejscu meczet. Cmentarz tatarski jest zwany mizarem. W okolicy możemy natknąć się na pagórki i polany opatrzone innymi tabliczkami: Czymbajowa Jama, Łysa Góra, Głuch, Tatarszczyzny, Niedźwiedzica, Zaruka, Glinki i Zagumienie. Przed wjazdem do miejscowości wita nas napis „Studzianka, dawna osada tatarska: przeszłość i teraźniejszość”.

Współautorem trasy turystycznej i gry terenowej popularyzującej nazwy miejscowe jest lokalne Stowarzyszenie Rozwoju Miejscowości Studzianka, a dokładnie Łukasz Węda, jego prezes i główny działacz. W ulotce promującej Studziankę jako dawną osadę tatarską znajduję listę dziesięciu różnorodnych propozycji dla zwiedzających: od przygotowania potraw tatarskich, przez strzelanie z łuku, lepienie naczyń, spływy kajakowe, grę terenową, pokazy filmów, po turnieje łucznicze (oczywiście w tatarskich strojach). Stowarzyszenie powstało w 2007 roku, gdy Łukasz był jeszcze w Gdańsku. Mieszkał przy meczecie muzułmańskim i działał w Związku Tatarów Polskich. Na jednej z imprez znajomy rzucił mu wyzwanie: „Ej, humanista, może coś byśmy razem wymodlili?”. Wzięli podręcznik do HTML-a i postavili stronę Studzianki, która działa do dziś.

## **Kapsuła czasu**

Z Łukaszem spotykam się wieczorem. Ma dwie prace, jedną w Białej Podlaskiej, a drugą w Piszczacu, piętnaście kilometrów stąd. Jest dyrektorem Gminnego Centrum Kultury i Sportu. Zwykle jest wolny dopiero o dwudziestej, ale dziś udaje mu się odebrać zaległe godziny za pracę w niedzielę. Chwilę rozmawiamy w agroturystyce. Łukasz pomimo deszczu bardzo chce jechać na cmentarz. Wsiadamy do samochodu. Z głównej drogi skręcamy zgodnie z kierunkowskazem w boczną, polną drogę.

– Właśnie tędy chodziły kondukty żałobne. Ostatni muzułmański pogrzeb odbył się w 1941 roku – komentuje. – O każdym grobie mógłbym opowiadać godzinami. General Józef Bielak, oficer gwardii Napoleon Samuel Januszewski, kapitanowie, majorowie, rotmistrzowie. Wiesz, że w XVIII wieku Studzianka była prawie cała tatarska? Mieszkało w niej ponad dwadzieścia rodzin tatarskich. Już jako mały chłopiec wiedziałem, co to jest mizar, zbierałem tu grzyby. Miejscowi nazywali je trujakami i nie chcieli kupować. Potem dopiero się



do tego przekonali. Najpierw szkoła i gmina zaczęły się interesować cmentarzem. Zorganizowały jego czyszczenie, potem tę rolę przejęło nasze stowarzyszenie. Przez kilka lat zastanawialiśmy się, co możemy jeszcze zrobić z tymi nagrobkami, jak je postawić do pionu? Ale nie mieliśmy doświadczenia. Oni, czyli działacze Fundacji Dziedzictwa Kulturowego, spadli nam z nieba. Choć muszę przyznać, że pierwsze spotkanie z Michałem z fundacji nie należało do przyjemnych. Przyjechali jacyś chłopcy. Zaczęli coś mierzyć. Monitoruję Internet, więc się ich spodziewałem, ale pomyślałem w pierwszej chwili: „Ktoś obcy, pewnie szabrownik”. Potem spotkaliśmy się w Warszawie i znaleźliśmy wspólny język.

Stoimy pod małym, ogrodowym namiotem. Ciągle pada i jest już ciemno. Łukasz, rozglądając się dookoła, wzdycha.

– To miejsce mnie wycisza, jego specyfika. O każdej porze dnia i roku ma inny klimat. Najbardziej chyba lubię przychodzić tu zimą. Gdy tablice są oszronione, pięknie widać inskrypcje. Wyobrażam sobie wtedy siebie na koniu, w takiej tatarskiej czapce, z łukiem. Wokół tylko mgła. Śladów tatarskich korzeni w swojej rodzinie nie znalazłem, ale myślę, że Tatarem można po prostu się czuć.

Michał ujmuje to tak:

– Cmentarz w Studziance to kapsuła czasu. Jest na nim ponad siedemset grobów i ponad czterysta nagrobków. Tych najmłodszych z początku XX wie-

ku jest zaledwie kilka. To są odróżniające się od pozostałych stele wykonane z piaskowca. Większość z nich została rozkradziona i zniszczona, bowiem piaskowiec to świetny materiał na oselki do ostrzenia noży. Ale na szczęście przetrwały nagrobki starsze, z XIX i XVIII wieku, wykonane z granitowych kamieni „polnych”. Obecnie cmentarz wygląda więc tak jak dwieście lat temu.

## Dwumetrowy korzeń

W Studziance znajduje się jeden z sześciu cmentarzy Tatarów polsko-litewskich w Polsce. W odróżnieniu od Bohonik lub Kruszynian, położonych bliżej Białegostoku, tutaj nie ma już społeczności tatarskiej, ale jest lokalne stowarzyszenie, które dba o cmentarz i Starostwo Powiatowe w Białej Podlaskiej, które jest przychylne pracom konserwatorskim. Rok temu dzięki programowi Narodowego Instytutu Dziedzictwa *Wolontariat dla dziedzictwa* odkraczono prawie cały teren i wstępnie zinwentaryzowano około dwustu nagrobków. W tym roku są one odszukiwane i przygotowywane przez wolontariuszy do dalszych prac konserwatorskich.

– Nasze prace porządkowe prowadzone są pod okiem konserwatorów i dzięki temu możemy wyrywać nawet te korzenie, które ingerują w pole grobowe, czyli to miejsce, gdzie leżą zwłoki. Działając pod nadzorem, nie destruujemy substancji zabytkowej – wyjaśnia Michał. – Teren cmentarza jest regularnie koszony, ale nie były dotychczas usuwane korzenie samosiejek. Wtedy nawet zwykła jarzębina, która wystaje choćby dwa centymetry nad ziemię, może mieć dwumetrowy korzeń. W kulturze tatarskiej pole grobowe jest wyjątkowo ciekawe. Znajduje się pomiędzy dwoma dużymi kamieniami, na których czasem możemy odnaleźć inskrypcje. Jeden z nich umieszczony jest u wezglowia, drugi w nogach. Część pomiędzy przykryta jest średniej wielkości kamieniami. W stanie, w którym cmentarz znajduje się teraz, w zasadzie nie widać tych średnich kamieni, pole grobowe w całości pokryte jest ziemią. Wchodząc tutaj pierwszy raz, widzimy dużo porozrzucanych pomiędzy drzewami pionowych głazów. Rzadko zdajemy sobie sprawę z tego, jak tatarskie nagrobki wyglądają w całości.

Dookoła cmentarza znajduje się płytki rów. To pozostałość po fosie, mającej uchronić go przed wylewami rzeki Zielawy, która kilkadziesiąt lat temu przepływała tuż obok. Cmentarz jest ogrodzony, na jego terenie ustawiono tablicę informacyjną, stojak na rowery i wiatę wybudowaną przez Wiesława, ojca Łukasza.



– Faktycznie jest trochę na uboczu wioski, w rogu, ale na górze. Te sosny na cmentarzu są stosunkowo młode, a to oznacza, że to miejsce zostało wybrane ze względu na widok. Ma w sobie coś kojącego – komentuje Kinga, która na wolontariacie w Studziance jest już drugi rok. Jest tłumaczką i scenarzystką filmową. Odpoczywa od komputera. – Tak sobie pomyślałam, że gdyby to były groby mojej rodziny i nikogo by już z niej nie było, to bardzo bym chciała, aby ktoś poświęcił im trochę uwagi. Zmarli na to zasługują.

Kinga brała też udział w innych wolontariatach.

– Zazwyczaj najważniejsze jest dogrzebanie się do tego, co możesz użytecznego zrobić, a potem musisz znaleźć kogoś, kto ci pokaże, jak to robić. Tu od początku było wiadomo, co robimy i jak. Myślę, że to zasługa koordynatorów i ich zaangażowania – podkreśla.

Asia trafiła tutaj przez Centrum Wolontariatu Uniwersytetu Warszawskiego. Jest na urlopie. Wyrывa małe drzewka, dwucentymetrowe łodygi z pojedynczymi listkami. Cieszy ją wiejski charakter miejscowości i to, że w sklepie spożywczym ludzie mówią sobie po imieniu.

Karolina, którą zabrała koleżanka, ma jeszcze wolne na studiach. Walczy z korzonkami i podgląda pracę konserwatorów. Cieszy się, że jej praca jest komuś tak potrzebna.



Władek, znajomy Michała, wykładowca akademicki, odbywa kursy taczką i strzeże ogniska rozpalonego poza cmentarzem. Odpoczywa od codziennych zajęć.

Ilona, znajoma Janka, też studentka, nie ma czasu rozmawiać, cały dzień pracuje z podkaszarką.

Adam chodzi z sekatorem i wycina większe drzewka. Jest dekarzem, który właśnie zwolnił się z pracy. Nie układało mu się z szefem, chce założyć własny biznes. Na wyjazd namówiła go Ilona. Cieszy się, że może pomóc, ale to jednak nie jego klimat.

– Na tego typu cmentarzach, ze starym drzewostanem, które działają jak zamknięty ekosystem, praca konserwatorów wymaga dużo więcej wysiłku – zaznacza profesor Janusz Smaza, kierujący zespołem konserwatorów. – Nawet trudno jest wjechać ze specjalnym sprzętem. Wolontariusze są tutaj bardzo potrzebni, właściwie niezbędni.

## **Sztandarowy produkt**

– Za pół godziny będzie piekaczewnik – ogłasza motywująco Janek Rosiak, który koordynuje prace na miejscu. – To tatarski pieróg z baraniną. Przygotowują go gospodynie ze stowarzyszenia. Bardzo tu o nas dbają, wczoraj były pyszne czebureki i pieremiacze.

Janek w Studziance w tym roku jest już dziesiąty raz. Poza koordynacją prac wolontariackich, badawczych i konserwatorskich na miejscu studiuje jeszcze historię sztuki, skończył już ochronę dóbr kultury i środowiska. W pracach na cmentarzu najbardziej lubi inwentaryzację. Pokazuje mi karty nagrobków i mówi:

– Do tej pory mam problem z określeniem nazwy formy – czy to jest nagrobek, czy mogiła. Mogiła kojarzy się z czymś w ziemi i tak to nazwałem, a po pół roku zmieniłem zdanie, że to jednak nagrobek, bo jest to forma bardziej spójna. Chciałbym, aby to, co robimy, komuś się w przyszłości przydało. Mierzymy odległość od jednego lica do drugiego, opisujemy cechy charakterystyczne ułożenia kamieni oraz inskrypcji i zaznaczamy na mapie. Podzieliłem cmentarz na kilka sektorów, aby było łatwiej je rozpoznawać i pierwszego dnia lokalizowaliśmy nagrobki do konserwacji. A poza tym uważam, że pracy koordynatora się nie docenia. Mało kto zdaje sobie sprawę, że to jest kilkumiesięczna praca, która trwa także po zakończeniu obozu.

Tatarski pieróg przywozi pani Mira z córką. Nauczyły się go piec na specjalnych warsztatach kuchni tatarskiej, które dla gospodyń ze Studzianki prowadziła Dżenneta Bogdanowicz, właścicielka „Tatarskiej Jurty” w Kruszyńskich. Ciasto jest okrągłe, wygląda jak zwinięty w ślimak makowiec.

– Robimy sześć takich placków z ciasta makaronowego, rozwałkowujemy je, rozpuszczamy trzy kostki masła, smarujemy placki i na ostatni układamy mięso, wszystko zawijamy i wkładamy do prodiża. To nasz sztandarowy produkt – podkreśla. – Przygotowujemy go na różne tatarskie okazje oraz na zamówienia. Mamy też pyszne sękacze.

## Tajemnicze szlaczki

– Pamiętam te okrzyki rozlegające się po cmentarzu: „Proszę pani, a co to za szlaczki są?! Proszę Pani!” – Kinga podczas obiadu wspomina wycieczkę dzieci z podstawówki. Dla nich to było zjawisko, że na tych kamieniach oprócz polskich liter znajdują się też te niezrozumiałe arabskie znaki. Faktycznie, jest to wyjątkowe, że na polskim cmentarzu, na jednej płycie kamiennej wyryto polskie i arabskie litery. Uświadomienie, nawet małej grupie ludzi, że to nie do końca tak jest, że u nas nigdy nie było muzułmanów i oni mieszkają gdzieś daleko, jest bardzo ważne.

Zawiłości nagrobnych inskrypcji wyjaśnia wszystkim podczas warsztatów z epigrafiki doktor Andrzej Drozd, orientalista z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, autor między innymi książki o inskrypcjach nagrobnych

na cmentarzach tatarskich w Polsce i na Litwie, której pierwszy tom w całości poświęcony jest cmentarzowi w Studziance.

– Fakty historyczne w jednym zdaniu można ująć tak: Tatarów do Studzianki sprowadził Jan III Sobieski – opowiada doktor Drozd. – Po buncie Tatarów w wojnie turecko-polskiej, aby zachęcić do powrotu oficerów chorągwi, którzy mieszkali wcześniej na Litwie w okolicach Kowna i Wilna, król oferował im ziemie państwowe zwane królewszczynami. Były to między innymi Bohoniki, Kruszyniany i Studzianka. Był rok 1679. Od tego czasu Tatarzy zaczęli migrować z różnych części Litwy i tutaj się osiedlać. Ten mizar pokazuje, jak bardzo litewscy Tatarzy w XVIII wieku zintegrowali się z miejscową kulturą. Szahady, czyli muzułmańskie wyznania wiary, pisane są po arabsku. Znajdują się w górnej części kamieni. Poza tym bardzo dużo inskrypcji wykonanych jest alfabetem arabskim, ale w języku polskim – mówiąc to, doktor Drozd bierze do ręki marker i zaczyna pisać po arabsku na stojącej za nim tablicy. – Proszę zgadnąć, co to za napis? Jest to imię, nazwisko i stopień jednego z przywódców powstania kościuszkowskiego, jedyne go generała, który tu spoczywa, Józefa Bielaka. Jest napisane po arabsku, podobnie jak jego stopień wojskowy. Przez wiele lat jego grób nie był odnaleziony właśnie z tej przyczyny, że nikt nie mógł odczytać inskrypcji. Odkryłem go dopiero w ostatnim dniu moich poszukiwań w Studziance w 2001 roku. Tatarzy mówili między sobą początkowo po tatarsku, a potem przeszli na polski lub rosyjski. Natomiast używali pisma arabskiego, choć arabski do tatarskiego ma się co najmniej tak samo jak polski do arabskiego.

Tatarzy byli tak naprawdę częścią naszej kultury, zachowując własną odrębność, a dodatkowo potrafili zaadoptować jedną kulturę, aby wzbogacić drugą. Teksty wyryte na kamieniach podpatrzone były u Polaków na portretach pogrzebowych, chorągwiach lub na epitafiach. Tatarzy zaadoptowali je pierwsi. Na nagrobkach chrześcijańskich te elementy pojawiły się później. Czegoś takiego, takich form zespolenia kultury muzułmańskiej z chrześcijańską, nie znamy, przynajmniej w tamtym okresie, nigdzie na świecie. Dodatkowo te napisy to prawdopodobnie jest rękodzieło tatarskie. Ktoś, kto nie znał pisma arabskiego, nie byłby w stanie tego zrobić. Swoboda prowadzenia linii liter świadczy o tym, że autor inskrypcji musiał znać alfabet arabski.

A jak je czytać? Wyjaśnia to Kinga:

– Przykładamy rękę do płyty, przyciskamy mocno palce i szorujemy. Dla wyostrzenia zmysłu dotyku, możemy zamknąć oczy. Odczyty kamieni najlepiej ro-





bić pomiędzy godziną dziesiątą a piętnastą, potem, gdy kamień jest płytko kuty, to nie da się go odczytać. Czasem w polskich inskrypcjach zdarzają się poważne błędy ortograficzne, na przykład Helena przez „Ch”. Gdy to odkryliśmy, najpierw zaczęliśmy się śmiać, ale potem, no trochę przykro, całą wieczność z takim bykiem – dodaje.

## **Ich już nie ma**

– Czy kosimy? Pewnie, że tak, organizujemy się co roku, w okolicach czerwca, i cały dzień spędzamy na cmentarzu – tłumaczy pani Tereska spotkana w sklepie. – No wie pani, jak pierwsze trawy urosną. Później to lato przychodzi i wszystko wysycha. Dwa dni mnie potem ręce bolą. Teraz to większość mężczyzn przychodzi z tymi wyżynarkami, ale są też niektórzy z kosami, ja działam z grabiami. A to, że to muzulamanie byli, no cóż, taka prawda, ale kto by teraz o tym myślał.

– Mnie nie przeszkadza, no przecież już ich nie ma – dodaje pani Mirka.

– A czemu ma przeszkadzać? – podchwytuje pytanie Łukasz. – W naszej miejscowości są teraz sami katolicy.

Michał, na pytanie, dlaczego zajmuje się cmentarzami, najpierw się obrusza, że przecież fundacja pracuje też przy innych obiektach zabytkowych, ale potem dodaje:

– Nagrobek rodzinny to jest zazwyczaj pierwszy i ostatni zabytek, który przeciętny człowiek ma na własność. Teraz popularne są tanie granity z Chin i ludzie wymieniają stare nagrobki na nowe, według nich ładniejsze. Jeśli jednak nasi pradiadkowie byli w stanie postawić tylko betonowy obelisk z wrytą inskrypcją, to pokazuje, kim oni byli. Nie zmienimy tego, a wymieniając nagrobek na nowy, możemy tylko zatrzeć ślad. Zupełnie niepotrzebnie. Złożona i trudna historia naszej części Europy spowodowała, że tak naprawdę cmentarze są często jedynymi obiektami, które pozostały po żyjących tu ludziach, a ich groby to jedyny materialny ślad, z którym nie da się dyskutować. Można go tylko zniszczyć albo ochronić.



# Projekty dofinansowane i zrealizowane w ramach programu *Wolontariat dla dziedzictwa*

Legenda symboli użytych w infografikach

NGO

Nazwa fundacji/  
stowarzyszenia



Tytuł projektu



Najważniejsze zrealizowane  
działania



Miejscowości/region,  
w którym realizowano projekt



Liczba wolontariuszy

## 01 NGO Centrum Inicjatyw na Rzecz Rozwoju „REGIO”

### ” Łódzki detal. Baza detalu architektonicznego Łodzi. Cz. I cykl obozów wolontariackich i promocja rezultatów projektu



- Obóz dla wolontariuszy
- Warsztaty o detalu architektonicznym
- Inwentaryzacja detali architektonicznych wybranych kamienic ulicy Piotrkowskiej i Gdańskiej
- Festiwal #detailfest (warsztaty sgrafitta i sztukatorskie, spaceru inscenizowane, gry miejskie, wystawy, wykłady)



Łódź



36

## 02 NGO Familijny Poznań

### ” Fort II reaktywacja. Obóz nr I



- Obóz dla wolontariuszy
- Opracowanie merytoryczne broszury edukacyjnej
- Działania porządkowe



Poznań



15

**NGO** Federacja Zielonych „Gaja”**03****” StudenciDlaDoliny – ochrona zabytkowego parku  
Dolina Miłości**

- Obóz dla wolontariuszy
- Działania porządkowe



Szczecin



15

**NGO** Fundacja Animacji Lokalnej „Fraktal”**04****” Ocalmy od zapomnienia zabytki gminy Kamionka**

- Obóz dla wolontariuszy
- Prace porządkowe na cmentarzach
- Przygotowanie programów zajęć edukacyjnych dla dzieci i młodzieży o zachowywaniu dziedzictwa kulturowego w najbliższej okolicy
- Zbieranie materiałów, przekazów dotyczących wybranych obiektów zabytkowych
- Przeprowadzenie cyklu zajęć i spotkań dla dzieci i młodzieży
- Spotkania dla członków lokalnej społeczności
- Przeprowadzenie wywiadów i spisanie wspomnień seniorów z terenu gminy



Kamionka



56

## 05 NGO Fundacja „AntySchematy2”

---

### ” Tarnowskie macewy – obóz wolontariacki

---



- Obóz dla wolontariuszy
  - Porządkowanie i inwentaryzacja cmentarza żydowskiego w Tarnowie
  - Wydanie katalogu macew
- 



Tarnów

---



13

## 06 NGO Fundacja „AntySchematy2”

---

### ” Tarnowskie macewy – obóz dla wolontariuszy. Edycja 2.

---



- Obóz dla wolontariuszy
  - Inwentaryzacja na cmentarzu żydowskim
  - Wydanie publikacji online
- 



Tarnów

---



25

**NGO** Fundacja „Ari Ari”**07****” Zapomniane cmentarze na Kujawach**

- Obóz dla wolontariuszy
- Porządkowanie i dokumentowanie miejsc – śladów dziedzictwa kulturowego
- Przygotowanie tablic informacyjnych
- Przygotowanie publikacji
- Spotkania, szkolenia i warsztaty dla uczestników projektu



Izbica Kujawska, Lipno, Włocławek, Kowal, Radziejów, Brześć Kujawski, Nieszawa



60

**NGO** Fundacja „Benevolens”**08****” Obóz wolontariacki w zabytkowym parku w Głucholazach**

- Obóz dla wolontariuszy – prace porządkowe w parku
- Prelekcja historyczna na temat Głucholaz i okolicy
- Prelekcja na temat ochrony zabytków
- Plener malarski
- Opracowanie albumu dokumentującego obóz



Głucholazy



24

## 09 NGO Fundacja „Chronic Dobro”

### ” *Dziedzictwo żywe* – obóz wolontariacki w opactwie Benedyktynów w Tyńcu



- Obóz dla wolontariuszy
- Szkolenie z metod interpretacji dziedzictwa
- Wykłady: inwentaryzacja i konserwacja dzieł sztuki, zarządzanie i upowszechnianie dziedzictwa kulturowego, prowadzenie działań edukacyjnych w obiekcie zabytkowym
- Ankietowanie turystów opactwa, rozwijanie współpracy z mieszkańcami Tyńca



Kraków, Tyniec



16

## 10 NGO Fundacja „Chronic Dobro”

### ” *Obóz dla wolontariuszy* w opactwie Benedyktynów w Tyńcu



- Obóz dla wolontariuszy
- Opracowanie gry edukacyjnej dla młodzieży szkolnej
- Cykl warsztatów i szkoleń o dziedzictwie kulturowym
- Prace porządkowo-inwentaryzacyjne



Kraków, Tyniec



20



**NGO** Fundacja dla Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego**11****”** **Wolontariat przy synagodze w Fordonie**

- Obóz dla wolontariuszy
- Cykl wykładów i zajęć
- Opracowanie założeń Szlaku Historii Żydów Fordońskich oraz Szlaku Historii Żydów Bydgoskich
- Wydanie książki: *Spacerownik. Szlak Historii Żydów Bydgoskich*



Bydgoszcz



9

**NGO** Fundacja Doliny Pałaców i Ogrodów Kotliny Jeleniogórskiej**12****”** **Obozy wolontariatu na terenie zabytkowego założenia pałacowo-parkowego w Bukowcu**

- Obóz dla wolontariuszy
- Szkolenia dla wolontariuszy o historii lokalnych zabytków
- Warsztaty dla dzieci i młodzieży o dziedzictwie kulturowym



Bukowiec



40

## 13 NGO Fundacja Dziedzictwa Kulturowego

### ” Porządkowanie cmentarza żydowskiego przy ul. Okopowej w Warszawie wraz z warsztatami edukacyjnymi



- Trzy obozy dla wolontariuszy
- Szkolenia z zakresu zasad religijnych dotyczących porządkowania cmentarzy
- Warsztaty z zakresu żydowskiej symboliki sepulkralnej
- Zgromadzenie danych na stronie internetowej



Warszawa



60

## 14 NGO Fundacja Dziedzictwa Kulturowego

### ” Porządkowanie cmentarza tatarskiego w Studziance oraz organizacja warsztatów edukacyjnych z epigrafiki arabskiej



- Obóz dla wolontariuszy
- Inwentaryzacja inskrypcji
- Szkolenie z zakresu prowadzenia prac porządkowych bez naruszania substancji zabytkowej
- Umieszczenie zgromadzonych i opracowanych danych na stronie internetowej



Warszawa, Biała Podlaska, Studzianka



16

**NGO** Fundacja Dziedzictwa Kulturowego

**15**

**” Porządkowanie cmentarza żydowskiego przy ul. Okopowej w Warszawie z warsztatami edukacyjnymi**



- Obóz dla wolontariuszy
- Szkolenie z zasad religijnych dotyczących porządkowania cmentarza
- Warsztaty z zakresu sepulkralnej symboliki żydowskiej



Warszawa



60

**NGO** Fundacja Dziedzictwa Kulturowego

**16**

**” Porządkowanie cmentarza tatarskiego w Studziance oraz organizacja warsztatów edukacyjnych**



- Obóz dla wolontariuszy
- Szkolenie z zakresu prowadzenia prac porządkowych bez naruszania substancji zabytkowej
- Warsztaty z zakresu sepulkralnej symboliki tatarskiej i historii Tatarów polskich
- Wykonanie fotografii i pomiarów nagrobków
- Umieszczenie zgromadzonych i opracowanych danych na stronie internetowej



Studzianka



20

## 17 NGO Fundacja „Dziedzictwo nasze”

### ” Wolontariat w Muzeum Tradycji Kolejowej



- Obóz dla wolontariuszy
- Kwerenda dokumentów i materiałów źródłowych dotyczących opracowywanych obiektów
- Szkolenie wolontariuszy z konserwacji obiektów muzealnych i prac pomocniczych przy inwentaryzacji
- Wykonanie fotografii i rysunków muzealiów, kart ewidencyjnych oraz digitalizacja



Węgorzewo



15

## 18 NGO Fundacja „Energia Społeczna”

### ” EtnoWolontariat



- Obóz dla wolontariuszy
- Stworzenie profesjonalnego portalu muzeum internetowego
- Wykłady: o kulturze ludowej i o gwarze Beskidu Żywieckiego, o metodologii badań etnograficznych i o architekturze drewnianej w Beskidzie Żywieckim
- Badania terenowe w ramach obozu
- Wernisaż podsumowujący obóz i efekty prac: wystawa zdjęć drewnianej architektury, występ kapeli archaicznej z Beskidu Żywieckiego
- Warsztaty budowy piszczałek



Żywiec, Kamesznica, Złatna, Rajcza, Ślemień



20

**NGO** Fundacja „Hereditas”

19

**” Akademia Opiekunów Dziedzictwa**

- Obóz dla wolontariuszy
- Opracowanie zgromadzonego materiału przez wolontariuszy
- Opracowanie kompletu zdjęć dokumentacyjnych
- Przygotowanie bazy danych dla zgromadzonego materiału
- Wydanie folderu prezentującego wybrane przykłady detali architektonicznych z terenu Pragi



Warszawa



21

**NGO** Fundacja Inicjatyw Krajobrazowych „Wybudowania”

20

**” Łąkorz. W poszukiwaniu tożsamości przestrzeni**

- Obóz dla wolontariuszy
- Porządkowanie cmentarza ewangelickiego
- Prace w wiatraku
- Wizyta w założeniu patacowym w Łąkorzu
- Wystawa podsumowująca obóz
- Broszura o projekcie



Łąkorz



18

## 21 NGO Fundacja „Kaszubskie Kamienie”

### ” Historia kamieniem pisana



- Obóz dla wolontariuszy
- Przygotowanie wystawy
- Szkolenia



Kartuzy, Żukowo, Chmielno, Przdokowo, Stężycza, Sulęczyno, Sierakowice



16

## 22 NGO Fundacja „Krzyżowa” dla Porozumienia Europejskiego

### ” Wolontariat na rzecz żydowskiego dziedzictwa Dzierżoniowa



- Obóz dla wolontariuszy
- Prace porządkowe na cmentarzu żydowskim
- Gry terenowe
- Wycieczki edukacyjne dla uczestników



Krzyżowa, Dzierżoniów



21

**NGO** Fundacja „Krzyżowa” dla Porozumienia Europejskiego**23****”** ***Kto nie szanuje zmarłych, ten nie szanuje życia***  
– workcamp w Dzierżoniowie

- Obóz dla wolontariuszy
- Porządkowanie cmentarza
- Warsztaty edukacyjne o spuściźnie kulturowej Dolnego Śląska, historii Dzierżoniowa i Wrocławia
- Warsztat o edukacji międzykulturowej
- Wyjazd edukacyjny do Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach



Dzierżoniów, Krzyżowa



24

**NGO** Fundacja „Laboratorium Turystyki”**24****”** **Historyczne dziedzictwo Lubartowa**

- Obóz dla wolontariuszy
- Digitalizacja materiałów (m.in. księgi parafialnej, aktów założycielskich, opisów miasta, budynków, opisów życia mieszkańców)
- Przygotowanie materiałów ze zbiorów Muzeum Zamoyskich w Kozłówce



Lubartów, Kozłówka



23

## 25 NGO Fundacja Ochrony i Promocji Dóbr Kultury „NIKE”

### ” Edukacyjny obóz wolontariacki *Ochrona dziedzictwa kulturowego Bieszczad*



- Obóz dla wolontariuszy
- Wykłady i warsztaty edukacyjne połączone z zajęciami praktycznymi
- Wyjazdy studyjne – poznawanie regionalnych obiektów zabytkowych, starych cmentarzy, wyludnionych wsi i unikatowych krajobrazów
- Spotkania z przedstawicielami instytucji państwowych, organizacji pozarządowych oraz społecznikami zajmującymi się ochroną zabytków



Polańczyk



18

## 26 NGO Fundacja „Oikonomos”

### ” Lato z wielokulturowym dziedzictwem



- Obóz dla wolontariuszy
- Inwentaryzacja cerkwi
- Warsztaty z zakresu ikonografii
- Wydanie folderów dokumentujących efekty pracy wolontariuszy



Białystok, Supraśl, Choroszcz, Fasty, Topilec, Królowy Most, Topolany



15



**NGO** Fundacja „Oikonomos”**27****”** *Lato z wielokulturowym dziedzictwem – II edycja*

- Obóz dla wolontariuszy
- Warsztaty ze znajomości technik pisania i symboliki ikon
- Inwentaryzacja cerkwi
- Inwentaryzacja cmentarza
- Publikacja folderów



Supraśl, Wasilków, Białystok



15

**NGO** Fundacja Otwartego Muzeum Techniki**28****”** *Akademia Archeologii Przemysłowej*

- Obóz dla wolontariuszy
- Wykłady i laboratoria obszaru cywilizacyjnego
- Warsztat konserwacji zabytków
- Opracowanie mapy szlaku turystycznego
- Szkolenie wolontariuszy na stopień sternika motorowodnego



Wrocław



13

## 29 NGO Fundacja „Pracownia Badań i Innowacji Społecznych «Stocznia»”

---

### ” Po kolei. Dziedzictwo na szlaku podwarszawskich tras kolejowych

---



- Obóz dla wolontariuszy
  - Badania terenowe
  - Opracowanie materiałów zebranych przez wolontariuszy
  - Opracowanie przewodnika
- 



Warszawa

---



17

## 30 NGO Fundacja „Przy Młynie”

---

### ” Wolontariusze „Przy Młynie”

---



- Obóz dla wolontariuszy
  - Udział w Nocy Muzeów i w Dożynkach Gminnych
  - Szkolenia dla wolontariuszy
- 



Słońsk

---



15

**NGO** Fundacja „Sławny Gród – Nie Zapomnieć o Praojcach”**31****”** **Ocalić od zapomnienia**

- Obóz dla wolontariuszy
- Stworzenie tematycznej ścieżki edukacyjnej
- Inwentaryzacja obiektów zabytkowych
- Wizyta studyjna w obiektach zabytkowych gminy Puck



Sławutowo, Celbowo



16

**NGO** Fundacja „Sub Rosa”**32****”** **Pomocnicze prace porządkowe na terenie zabytkowych cmentarzy oraz w otoczeniu obiektów zabytkowych dawnego Biskupiego Księstwa Nyskiego**

- Obóz dla wolontariuszy
- Warsztaty dla młodzieży
- Opracowywanie scenariusza edukacyjnej gry terenowej o zabytkach
- Opracowanie folderu o zabytkach Bliznego



Blizne



30

### 33 NGO Fundacja „W Rozwoju”

#### ” Dziedzictwo kulturowe źródłem opolskiej tożsamości. Obóz edukacyjny dla wolontariuszy



- Obóz dla wolontariuszy
- Badania terenowe i digitalizacja wspomnień najstarszych mieszkańców związanych z dziedzictwem gminy Biata
- Działania porządkowe terenu wokół zabytków
- Przeprowadzenie gry terenowej/miejskiej



Biata



10

### 34 NGO Fundacja „W Rozwoju”

#### ” Dziedzictwo kulturowe źródłem opolskiej tożsamości. Obóz edukacyjny dla wolontariuszy 2



- Obóz dla wolontariuszy
- Badania terenowe oraz digitalizacja wspomnień najstarszych mieszkańców związanych z dziedzictwem kulturowym gminy Biata
- Działania porządkowe terenu wokół zabytków
- Przeprowadzenie gry terenowej



Biata



10

**NGO** Fundacja „Zawsze Warto”**35****” Kolonie Józefa**

- Dwa obozy dla wolontariuszy
- Warsztaty z zakresu psychologii społecznej poświęcone sposobom prowadzenia mediacji i budowania relacji
- Warsztaty przygotowujące do opracowania materiałów na warsztaty dla uczniów
- Inwentaryzacja historycznych obiektów



Gołkowice Górne, Gołkowice Dolne, Gaboń, Stadła, Podegrodzie, Nowy Sącz, Kadcza



20

**NGO** Fundacja „Zawsze Warto”**36****” Skarby i Łosie**

- Obóz dla wolontariuszy
- Warsztaty z zakresu psychologii społecznej
- Warsztaty z zakresu samodzielnego prowadzenia warsztatów
- Warsztaty dla uczniów szkół podstawowych prowadzone przez wolontariuszy
- Inwentaryzacja obiektów historycznych
- Przygotowanie publikacji elektronicznej



Łosie, Klimkówka, Ropa



26

### 37 NGO Klub Miłośników Łemkowszczyzny

---

#### ” Historia na marginesach zapisana

---



- Obóz dla wolontariuszy
  - Cztery prelekcje połączone z prezentacją wystawy
- 



Gorlice

---



10

### 38 NGO Klub Miłośników Łemkowszczyzny

---

#### ” Inwentaryzacja cmentarzy łemkowskich na terenie gminy Uście Gorlickie

---



- Obóz dla wolontariuszy
  - Badanie stanu zachowania cmentarzy łemkowskich i ich dokumentacja
  - Wystawa fotograficzna
- 



Gorlice, Gładyszów, Smerekowiec, Skwirtne, Zdymia, Konieczna, Regietów

---



10

**NGO** Klub Miłośników Łemkowszczyzny**39****” Inwentaryzacja cmentarzy łemkowskich na terenie gminy Uście Gorlickie – kontynuacja**

- Obóz dla wolontariuszy
- Wystawy fotograficzne w Wysowej i Krynicy



Gorlice, Wysowa, Krynica, Blechnarka, Hańczowa, Ropki, Stawisza



10

**NGO** Oddział Towarzystwa Opieki nad Zabytkami w Warszawie**40****” Muzeum Ukryte – inwentaryzacja wybranych warszawskich pracowni artystycznych**

- Obóz dla wolontariuszy
- Warsztaty z inwentaryzacji pracowni Józefa i Wandy Gośławskich
- Warsztaty z inwentaryzacji dzieł Stefana Momota
- Realizacja filmu podczas warsztatów
- Przygotowanie kart inwentaryzacyjnych
- Spotkania z opiekunami spuścizny artystów



Warszawa



18

## 41 NGO Polskie Stowarzyszenie Miłośników Kolei

### ” Wolontariat na rzecz dziedzictwa kulturowego kolei jako forma międzypokoleniowej edukacji technicznej



- Obóz dla wolontariuszy
- Przygotowanie ścieżki edukacyjnej *Parowozownia Skierniewice – historia i teraźniejszość*
- Prace porządkowe
- Nieodpłatne udostępnianie obiektu turystom



Skierniewice



46

## 42 NGO Polskie Stowarzyszenie Miłośników Kolei

### ” Wolontariat w Parowozowni Skierniewice metodą kreowania patriotycznej troski o dziedzictwo pierwszej polskiej kolei



- Obóz dla wolontariuszy
- Prace przy utrzymaniu terenu zabytkowego zespołu lokomotywowni (usuwanie skutków dewastacji, pielęgnacji zieleni etc.)
- Bezpłatne udostępnianie obiektów Parowozowni turystom
- Prace pomocnicze przy renowacji parowozów Ol49-4 i Ty51-1



Skierniewice



50



**NGO** Pracownia Architektury Żywej**43****” Zabytki gminy Nowy Dwór – razem na rzecz kulturowego i naturalnego dziedzictwa**

- Obóz dla wolontariuszy
- Prace inwentaryzacyjne i dokumentacyjne
- Prezentacja efektów pracy w spotkaniu finałowym



Nowy Dwór, Jaginty, Bobra Wielka



22

**NGO** Stowarzyszenie Edukacji Krytycznej**44****” Zabytki techniki Dolnośląskiego Zagłębia Węglowego**

- Obóz dla wolontariuszy
- Opracowanie pięciu szlaków po zabytkach techniki Dolnośląskiego Zagłębia Węglowego
- Opracowanie katalogu dobrych praktyk opieki nad zabytkami techniki
- Opracowanie Szlaku Wież Nadszybowych i jego folderu
- Szkolenie dla wolontariuszy



Wrocław, Wałbrzych, Mieroszów, Boguszów, Gorce Głuszycy, Nowa Ruda



25

## 45 NGO Stowarzyszenie „Festiwal Kultury Żydowskiej”

### ” Renowacja cmentarza żydowskiego w Jędrzejowie przez wolontariuszy Krakowskiego Festiwalu Kultury Żydowskiej „The Machers”



- Obóz dla wolontariuszy
- Prace porządkowe
- Przeprowadzenie warsztatów i wykładów



Jędrzejów



10

## 46 NGO Stowarzyszenie Historyków Sztuki

### ” Sztuka na kółkach edycja 2017



- Szkolenia dla nauczycieli w 6 miejscowościach
- Opracowanie podręcznika *Sztuka na kółkach*
- Dwa obozy dla wolontariuszy
- Konkurs na organizację Szkolnych Dni Dziedzictwa Kulturowego



Rybnik, Tarnów, Nowy Sącz, Kraków, Krosno, Katowice



40

**NGO** Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych: Naukowych, Innowacyjnych, Artystycznych „Silnia!” **47****”** **Wieś bogata w historię – zabytki Starego Wielisławia**

- Obóz dla wolontariuszy
- Wyjazd studyjny
- Warsztaty dla uczestników
- Konkurs plastyczny dla dzieci i młodzieży
- Inwentaryzacja i dokumentowanie zabytków



Kłodzko, Stary Wielisław



15

**NGO** Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych: Naukowych, Innowacyjnych, Artystycznych „Silnia!” **48****”** **Zapomniane zabytki ziemi kłodzkiej**

- Obóz dla wolontariuszy
- Zgromadzenie informacji o obiektach zabytkowych miejscowości
- Warsztaty dla uczestników



Kłodzko, Starków



15

## 49 NGO Stowarzyszenie Magurycz

---

### ” Kamienne znaki Bojków

---



- Obóz dla wolontariuszy
  - Warsztaty poświęcone ochronie sztuki sepulkralnej
  - Prace inwentaryzacyjne
  - Przygotowanie materiałów do publikacji poświęconej cmentarzom
- 



Tarnawa Niżna, Liskowate, Nowica, Lutowiska

---



23

## 50 NGO Stowarzyszenie Mieszkańców i Miłośników Piły nad Brdą „BUKO”

---

### ” Chronimy i badamy zabytki techniki na obszarach wiejskich

---



- Obóz dla wolontariuszy
  - Aktualizacja i publikacja książki *Podziemne górnictwo węgla brunatnego w Borach Tucholskich*
  - Przygotowanie i publikacja folderu promującego dziedzictwo
- 



Piła

---



16

**NGO** Stowarzyszenie Mieszkańców i Miłośników Piły nad Brdą „BUKO” **51**

**” Wolontariat na rzecz zapomnianych zabytków na obszarach wiejskich**



- Obóz dla wolontariuszy
- Publikacja podsumowująca zajęcia praktyczne z inwentaryzacji i dokumentacji zabytków
- Publikacja folderu reklamującego zabytek techniki
- Przygotowanie ekspozycji podziemnych kopalń węgla brunatnego



Piła



16

**NGO** Stowarzyszenie Miłośników Nowego Dworu Gdańskiego „Klub Nowodworski” **52**

**” Delta Wolontariat**



- Obóz dla wolontariuszy
- Warsztaty i szkolenia
- Wystawa prac wolontariuszy



Żelchowo



10

## 53 NGO Stowarzyszenie Miłośników Nowego Dworu Gdańskiego „Klub Nowodworski”

### ” Młodzi Agenci. Misja Żuławy!



- Obóz dla wolontariuszy – regionalny dla młodych liderów
- Projekty Młodych Agentów



Nowy Dwór Gdański, Żelichowo, Żuławy delty Wisły



13

## 54 NGO Stowarzyszenie na rzecz Ochrony Dziedzictwa „Młyn-Papiernia”

### ” Kultura drewna – zachowanie ryglowego dziedzictwa



- Obóz dla wolontariuszy
- Wykłady specjalistyczne, pokazy, zajęcia praktyczne
- Otwarte warsztaty i zajęcia na temat remontów i konserwacji obiektów ryglowych
- Pokazy praktyczne, publiczne wykonywanie prac ciesielskich i konserwatorskich, pokazy wykonywania i napraw elementów obiektów ryglowych



Barlinek, Niepotcko



12

**NGO** Stowarzyszenie na rzecz Ochrony Dziedzictwa „Młyn-Papiernia” **55****” Kultura drewna – zachowanie ryglowego dziedzictwa  
II etap**

- Obóz dla wolontariuszy
- Prace pomocnicze przy konserwowanych obiektach
- Nauka technik ciesielskich
- Zajęcia praktyczne – wykonanie elementów konstrukcji
- Przygotowanie materiałów do prezentacji i szkoleń



Barlinek



12

**NGO** Stowarzyszenie „Nasz Czerwińsk nad Wisłą” **56****” Obóz wolontariacki mający na celu inwentaryzację  
zabytkowego układu urbanistycznego miejscowości  
Czerwińsk nad Wisłą**

- Obóz dla wolontariuszy
- Wykonanie dokumentacji do gminnej ewidencji zabytków dla zabytków nieruchomych zlokalizowanych w układzie urbanistycznym Czerwińska nad Wisłą
- Inwentaryzacja wybranych zabytków
- Opracowanie folderu



Czerwińsk nad Wisłą



20

## 57 NGO Stowarzyszenie „Orthnet”

### „ Dziedzictwo prawosławia – młodzież w działaniu dla parafii



- Obóz dla wolontariuszy
- Digitalizacja pięciu obiektów sakralnych
- Zorganizowanie wystawy
- Produkcja filmu o cerkwi



Lublin, Dratów, Jabłeczna, Zabłocie



12

## 58 NGO Stowarzyszenie „Podgorze.pl”

### „ Obóz dla wolontariuszy



- Obóz dla wolontariuszy
- Prace porządkowe
- Spotkania z lokalnymi ekspertami
- Spacer po podgórskiej nekropolii
- Opracowanie dostępnych materiałów



Kraków



10



**NGO** Stowarzyszenie Promocji Dziedzictwa „Kasztelania Ostrowska” **59****” Dziedzictwo krajobrazu historycznej Kasztelanii Ostrowskiej – krainy odkrywanej na nowo**

- Obóz dla wolontariuszy
- Stworzenie dwóch ścieżek edukacyjnych i odpowiednich broszur
- Objazdowa wystawa fotografii autorstwa uczestników obozu
- Trzy warsztaty tematyczne przeprowadzone przez wolontariuszy w lokalnych szkołach podstawowych
- Publikacja przewodnika – kompendium wiedzy online



Lednogóra, Dziekanowice, Pobiedziska, Gniezno, Łubowo, Imielenko, Kocanowo, Wronczyn, Poznań



18

**NGO** Stowarzyszenie Rozwoju Orawy **60****” Wolontariusze Podhala, Spisza i Orawy na rzecz dziedzictwa swojego regionu**

- Trzy obozy dla wolontariuszy
- Opracowanie trzech questowych ścieżek edukacyjnych
- Zajęcia animacyjno-edukacyjne



Jabłonka



60

## 61 NGO Stowarzyszenie „Studnia Pamięci”

### ” Ogrodnicy pamięci. Metody pracy nad zachowaniem dziedzictwa żydowskiego na Lubelszczyźnie



- Obóz dla wolontariuszy
- Prace terenowe
- Uporządkowanie czterech cmentarzy żydowskich
- Szkolenie teoretyczne połączone z zajęciami praktycznymi na cmentarzu żydowskim w Lublinie
- Opracowanie podręcznika dobrych praktyk



Lublin, Piaski, Krasiczyn, Krasnystaw



16

## 62 NGO Stowarzyszenie „Studnia Pamięci”

### ” Wąwolnica – nieinwazyjne badania archeologiczne i uporządkowanie cmentarza żydowskiego



- Obóz dla wolontariuszy
- Szkolenie teoretyczne i zajęcia praktyczne na starym cmentarzu żydowskim w Lublinie
- Opracowanie merytoryczne kart inwentaryzacyjnych
- Opracowanie podręcznika dobrych praktyk



Wąwolnica, Lublin, Zarzeka



10

**NGO** Stowarzyszenie „Wieża Książęca w Siedlęcinie”**63****”** **Obóz dla wolontariuszy *Odkrywamy własne dziedzictwo***

- Obóz dla wolontariuszy
- Opracowanie folderu po szlaku archeologicznym
- Przygotowanie koncepcji i tekstów do ścieżki edukacyjnej po Siedlęcinie



Siedlęcin



10

**NGO** Stowarzyszenie „Wieża Książęca w Siedlęcinie”**64****”** **Obóz dla wolontariuszy *Ścieżki dziedzictwa***

- Obóz dla wolontariuszy
- Wykonanie i dystrybucja folderu na temat ścieżki dziedzictwa
- Wykonanie tablic do wystawy o lokalnym dziedzictwie
- Warsztaty i prelekcje z zakresu ochrony i popularyzacji dziedzictwa kulturowego
- Wydanie folderu i wykonanie tablic wystawowych



Siedlęcin



10

## 65 NGO Stowarzyszenie „Willa Decjusza”

---

### ” Kulturowy Szlak Renesansu

---



- Obóz dla wolontariuszy
  - Warsztaty edukacyjne w Willi Decjusza oraz zamku na Mirowie w Książu Wielkim
  - Wydanie folderu informacyjnego o obiektach Szlaku Renesansu w Małopolsce
- 



Kraków, Książ Wielki

---



28

## 66 NGO Stowarzyszenie „Willa Decjusza”

---

### ” Szlak Renesansu w Małopolsce – obozy dla wolontariuszy

---



- Obóz dla wolontariuszy
  - Wykłady i warsztaty dla uczestników
  - Wydarzenie otwarte: *Spotkanie z kulturą renesansu*
  - Przygotowanie nowatorskiej prezentacji obiektu Willi Decjusza
  - Wystawa współczesnych prac wykonanych techniką malarstwa iluminacyjnego
- 



Kraków

---



44

**NGO** Towarzystwo dla Natury i Człowieka**67****” Nadbużańskie uroczyska. Prace porządkowe i działania edukacyjne na nekropoliach w Czumowie, Ślipczu i Gródku**

- Obóz dla wolontariuszy
- Prace porządkowe na trzech cmentarzach
- *Dzień z dziedzictwem wschodniego chrześcijaństwa* – seminarium edukacyjne



Hrubieszów, Turkowice, Dołhobyczów, Prehoryłe, Szychowice, Krytów, Czumów, Ślipcze, Gródek, Lublin



20

**NGO** Towarzystwo dla Natury i Człowieka**68****” Prace porządkowe na cmentarzach prawosławnych w Werbkowicach, Dobromierzycach i Gozdowie**

- Obóz dla wolontariuszy
- Wykonanie tablic informacyjnych na cmentarzach
- Prace porządkowe prowadzone na cmentarzach



Gozdów, Werbkowice, Drohomierzyce



14

**69** NGO Towarzystwo Krajoznawcze „Krajobraz”**”** **Żuławskie domy podcieniowe i ich mieszkańcy**

- Obóz dla wolontariuszy
- Opracowanie wystawy obwoźnej
- Stworzenie strony internetowej



Lisewo Malborskie



17

**70** NGO Towarzystwo Ochrony Krajobrazu Kulturowego „Sukcesja”**”** **Obóz dla wolontariuszy w Mątasku – *Protestanci – zapomniani sąsiedzi***

- Obóz dla wolontariuszy
- Dwie wycieczki edukacyjne
- Prace dokumentacyjne
- Prace porządkowe na cmentarzu



Mątasek, Grudziądz, Chrystkowo, Osiek, Kosowo, Lipinki



15

**NGO** Towarzystwo Ochrony Krajobrazu Kulturowego „Sukcesja” **71****”** **Obóz dla wolontariuszy w Zbrachlinie *Żyli kiedyś wśród nas... żyjemy dzisiaj obok nich***

- Obóz dla wolontariuszy
- Prace porządkowe
- Prace dokumentacyjne obiektu zabytkowego



Zbrachlin, Niewieścín, Topolno, Wałdowo, Lipinki



18

**NGO** Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Oddział w Toruniu **72****”** **Spółeczny raport na temat stanu Twierdzy Toruń**

- Obóz dla wolontariuszy
- Szkolenia dla wolontariuszy
- Inwentaryzacja i dokumentacja Twierdzy Toruń
- Przygotowanie wystawy



Toruń



25

**73** NGO Towarzystwo Przyjaciół Przemysła i Regionu**”** Obóz dzienny dla wolontariuszy pod hasłem *Zabytki przemyskiej nekropolii w obiektywie wolontariuszy*

- Obóz dla wolontariuszy
- Działania edukacyjne
- Utworzenie historycznej księgi inwentarzowej zabytków Cmentarza Głównego w Przemysłu



Przemysł



30

**74** NGO Towarzystwo Przyjaciół Słońska „Unitis Viribus”**”** Zostań muzealnikiem – porządkujemy zasoby Wystawy Pamiątek Regionalnych w Słońsku

- Obóz dla wolontariuszy
- Wykonanie bazy zabytków
- Szkolenie w zakresie konserwacji zabytków drewnianych
- Wystawa z okazji Święta Ryby organizowanego przez gminę Słońsk



Słońsk



9



**NGO** Towarzystwo Upiększania Miasta Pucka**75****” Wolontariat dla zabytków kaszubskiej Nordy**

- Obóz dla wolontariuszy
- Warsztaty dla dzieci z 6 szkół podstawowych
- Warsztaty dla seniorów
- Wykłady i zajęcia praktyczne z konserwacji metalu
- Wystawa fotograficzna zabytków na kaszubskiej Nordzie
- Publikacja folderu *Chrońmy DOM POMORSKI na kaszubskiej Nordzie*
- Wydanie kartki pocztowej i kalendarza planszowego promujących ochronę dziedzictwa kultury



Puck, Żelistrzewo, Rzucewo



52

**NGO** Towarzystwo Upiększania Miasta Pucka**76****” Wolontariat dla zabytków kaszubskiej Nordy.  
Chronimy Dom Pomorski**

- Obóz dla wolontariuszy
- Inwentaryzacja Domu Pomorskiego na terenie kaszubskiej Nordy
- Warsztaty dla wolontariuszy o ochronie zabytków i podstawach inwentaryzacji
- Wystawa fotograficzna zinwentaryzowanych zabytków



Puck, Żelistrzewo



14

**77** NGO Związek Harcerstwa Polskiego Główna Kwatera**” Lato odkrywców**

- Obozy dla wolontariuszy
- Szkolenie wolontariuszy
- Zorganizowanie 9 ekspedycji



Kłodzko, Stary Wielistaw



120

**78** NGO Związek Harcerstwa Polskiego Główna Kwatera**” Lato odkrywców – obóz szkoleniowy dla wolontariuszy**

- Obóz dla wolontariuszy
- Szkolenia dla wolontariuszy z metod prowadzenia zajęć z dziećmi
- Działania edukacyjne, m.in. LARP (Live action role-playing)



Lidzbark, Rypin



60